

ISSN 1507-4781 * ROK XXVIII * WIOSNA (IV, V, VI) 2025 * nr 104

FORUM 104

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów



Salvador Dalí
Starek motyli

W numerze m.in.:

- Tadeusz Boy-Żeleński, *Rozerwalna nierozerwalność*
- Jan Woleński, *Jeśli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone*
- Andrzej Witkowicz, *„Antemurale Christianitatis”*
- Adam Jaśkow, *Czy Faustyna to dziewczyna . Święta.*
- Felietony



OD REDAKCJI:

- 1 Bać się?
- 2 Pożegnanie prof. Piotra Szydłowskiego

TEMATY SPRZED LAT

- 3 Piotr Augustynek – *Odmęty hipokryzji (Po raz nie wiem który)*
- 3 Tadeusz Boy-Żeleński – *Rozerwalna nierozewalność*

MYŚLĄC BELFREM

- 6 Halina Krywak – *Szacunek dla języka ojczystego – polszczyzny – a patriotyzm*
- 10 Piotr Augustynek – *Kula w łeb, czyli kryzys etosu belfra*
- 10 Magdalena Bylica – *Innowacja pedagogiczna. W cztery strony świata sztuki i kultury*

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

- 17 Bogumił M. Woźniakowski – *Duchowieństwo spod znaku cyrkla i węgielnicy*

UŻYWAJMY ROZUMU

- 26 Jan Woleński – „*Jeśli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone*”
- 30 Jan Woleński – *Posłowie do wywiadu Jana Grosfelda ze Sławomirem Jackiem Żurkiem*

OKIEM FILOZOFA

- 35 Józef Kabaj – *Rojenia a wierzenia*

POEZJA

- 36 Jan Kochanowski – *Pieśń o spustoszeniu Podola*
- 38 Wacław Potocki – *Pospolite ruszenie*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 39 DANUTA STOLAREK – *Anżelika Bałabanowa – nieznaną rosyjską rewolucjonistką*
- 49 Wojciech Kroszczyński – *Franciszek Sarnek i strajk na UJ*
- 53 Andrzej Witkiewicz – *Antemurale Christianitatis*

FELIETONY

- 58 Adam Jaśków – *Czy Faustyna to dziewczyna. Święta*
- 60 Marchłot – *Płoszenie słoni*
- 62 Babcia – *Plecak ewakuacyjny*

UCZENI W ANEGDOCIE

- 63 *Noblista faszysta. Guglielmo Marconi (1874-1937)*

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady
mgr Magdalena Mrugała
– sekretarz Rady

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Jan Hartman,
prof. dr hab. Wojciech Kajtoch,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
dr Paweł Sękowski,
dr Sławomir J. Tabkowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

OD REDAKCJI

BAĆ SIĘ?

Widnokrąg przybiera coraz ciemniejsze, ponure barwy. Rośnie poczucie zagrożenia. Nawet (wydawałoby się) nasz najważniejszy sojusznik pokazuje bez skrępowania, gdzie ma nas i cały świat. Dla niego i jego akolitów jedynym bogiem i punktem odniesienia jest władza. Władza nad możliwie największą częścią świata. Władza, a więc dolar, może bitcoin...

Życie po raz kolejny zweryfikowało naszą (nie tylko) naiwność, łatwowierność, w ostrzejszej formie nazywaną po prostu frajerstwem. Wiemy, że takich kolokwializmów nie wypada używać we wstępie do kolejnego numeru szanującego się kwartalnika. No, nie wypada. Ale wobec tego jak nazwać inaczej ten koszmarny taniec niby-znaczeń, niby-dobrych intencji, zapewnień o umiłowaniu pokoju, troski o miliony zwykłych ludzi płacących krwią za fanaberie cymbałów i przestępców, którzy dorwali się do władzy? Jak określić wystarczająco dosadnie wypowiedzi „władców”, uzasadniających zwykłe draństwo i bandytyzm wyższymi wartościami?

To żadna tajemnica, że w tym najpiękniejszym ze światów rację mają jedynie silni. Wolno im zaplanować przejęcie jakiegoś suwerennego państwa, wolno zaplanować kupno wyspy jedynie dlatego, że tam są bogactwa naturalne, a położenie korzystne strategicznie.

Nikogo już nie obchodzą relacje z miejsc śmierci i przemocy. Nikt już nie patrzy w oczy osieroconym, głodnym, rannym dzieciom. I tak dalej, krok za krokiem ku zniszczeniu.

Co zatem robić? Poddać się? Walczyć bez szans na zwycięstwo? Reagować, czy udawać, że nasza chata skraja? Każdy z nas w pojedynkę nic nie znaczy. Nikt nawet nie zauważy rozdeptanego robaka. Jest jednak pewna (powszechnie znana) metoda: **współdziałanie**. Codzienne, nieefektywne, pozbawione gwiazdorstwa i głupawych popisów.

Róbmy swoje. Najlepiej jak umiemy. Wtedy to może dać pozytywny efekt. Bać się? To nic nie da. Bać się musimy obojętności i zaniechania. Zacznijmy od siebie.

REDAKCJA

ZE SMUTKIEM INFORMUJEMY

ŻE

ODSZEDŁ OD NAS

PROF. DR HAB.

PIOTR SZYDŁOWSKI

FILOZOF, ETYK, RELIGIOZNAWCA.

BYŁ NASZYM STAŁYM AUTOREM TEKSTÓW,
CZŁONKIEM RADY PROGRAMOWEJ
FORUM MYŚLI WOLNEJ.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

Redakcja.



ODMĘTY HIPOKRYZJI

(PO RAZ NIE WIEM KTÓRY)

Nasz patron boleśnie obnażał dwójmyślenie rządców dusz w sutannach. Piętnował brodzenie w oparach kłamstwa, kpinę z elementarnej logiki i zwykłej uczciwości. Wskazał na zjawisko uświęconego kłamstwa. O co chodzi? O tak zwane unieważnienie małżeństwa. Metody przeprowadzania takiej procedury, oczywiście w salach ozdobionych krucyfiksem i świętymi obrazami, stanowiły przykład łotrostwa i cynizmu. Tak było w czasach Boya. A dzisiaj?

Piotr Augustynek

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

ROZERWALNA NIEROZERWALNOŚĆ

Jak było do przewidzenia, zaatakował mnie *Polak-Katolik* z powodu mojego artykułu pt. *Biedne prababki*, poruszającego sprawę techniki unieważniania małżeństw. Ale dziwnie to miękki atak jak na tak doniosłą sprawę!

Polak-Katolik pisze:

P. Boy-mędrzec w „Kurierze Porannym” uprawia zawodową propagandę rozwodów. Operując anegdotami, stara się wmówić w czytelników, że Kościół katolicki, aczkolwiek nie uznaje rozwodów, to jednakże toleruje je pod firmą unieważnienia małżeństw pod byle pozorem. Wystarczy może czasem list do przyjaciółki, świadczącej, że narzeczona nie kochała swego przyszłego męża. Dzieć się mają również i nadużycia, przekupstwa i krzywoprzysięstwa świadków.

Jak się w istocie zapatruje Kościół na sprawę rozwodów, pana Boya nic nie obchodzi; woli przytaczać anegdoty z mętnego źródła... A pisze się to wszystko jedynie w celu skompromitowania nieprzejednanego stanowiska Kościoła w sprawie rozwodów i małżeństw cywilnych, i pouczenia wątpiących, że rozwody to rzekoma

konieczność życiowa i sprawiedliwość społeczno-moralna...

P. Boy-mędrzec i jemu podobni mędracy Syjonu i spod znaków masonskich chcą Polskę przerobić na swoją modłę, a podstawę moralności ludzkiej zwalczają bronią niewybredną: plotką i oszczerstwem.

Polak-Katolik się myli. Bardzo mnie obchodzi, jak się Kościół na sprawę rozwodów zapatruje. I właśnie dlatego uderza mnie, jak daleko codzienna praktyka od tych zapatrywań odbiega. A co do „nieprzejednanego stanowiska”, to pozwolę sobie dodać małe uzupełnienie praktyczne, mianowicie: nieprzejednanego dla biedaków.

Polaku-Katoliku! i ja jestem Polak i Katolik. Mówmy jak swój do swego, przymrużywszy lewe oko: kogo wy chcecie tumanić? Co to znaczy: „anegdoty z mętnego źródła”? Czy my jesteśmy ślepi? Czy nie widzimy, co się dzieje naokoło? Czy każdy z nas nie ma tuzina znajomych rozwiedzionych? Czy nie wiemy, jak i po czemu? Czy o tych rzeczach głośno się nie mówi? Czy nie znamy np. z imienia i nazwiska ojca czworga dorosłych dzieci, który otrzymał unieważnienie małżeństwa, i czy nie wie-

my ściśle, ile to kosztowało? Czy nie dyskutuje się techniki rozwodów, procederu fałszywych świadków etc.? Ale co tu gadać! skoro *Polaka-Katolika* tak rażą moje „plotki”, niechże posłucha, jak o tych rzeczach mówi się potocznie w organie augurów, w piśmie, na którego szpaltach raz po raz cywilni kaznodzieje grzmią o nierozzerwalności małżeństwa. Oto jeden z czytelników przysłał mi wycinek z „Kuriera Warszawskiego” z dn. 12.XI.1926, który zachował na wieczną pamiątkę. Pisze „Kurier Warszawski”, donosząc o zaręczynach słynnego Marconiego:

Na przeszkodzie małżeństwu stoi na razie fakt, że Marconi nie ma dotychczas rozwodu z pierwszą żoną. Jak wiadomo, rozwód we Włoszech (!) nie istnieje, przeto Marconi zwrócił się do Watykanu o unieważnienie małżeństwa. Prawdopodobnie wobec wysokich wpływów narzeczonej (ojciec jej należy do gwardii papieskiej) prośba zostanie uwzględniona. Ślub zapowiadają na wiosnę.

Oto z jakiego tonu gadają augurowie, skoro zapomną usiąść na trójnogu. I to jest ton właściwy; tak się o tych rzeczach na co dzień mówi i tak się one dzieją. Można powiedzieć wręcz: *każde małżeństwo może być unieważnione*; z czego szatan, który jest piekielny logik, mógłby wyciągnąć wniosek, że wszystkie są nieważne... Każde małżeństwo może być unieważnione; pozytywny warunek jest tylko jeden: *cenus majątkowy*, bo oczywiście nie każdy ma szczęście być córką papieskiego gwardzisty. Choć i w Warszawie znają siostrzenicę rektora rzymskiego kolegium, która odwrotną pocztą otrzymała unieważnienie małżeństwa.

A jak się to dzieje w codziennej praktyce, czyż ja mam opowiadać *Polakowi-Katolikowi*? Raczej od niego mógłbym się wiele dowiedzieć... Zatem, skoro ktoś ma odpowiednie środki finansowe (z biedakiem w ogóle się nie gada), oddają go w ręce specjalistów; ci bada-

ją jego wypadek, z której strony rzecz zachaczyć. Drogi są najrozmaitsze; są nawet okresy, w których pewne środki modniejsze są od innych. Niedawno pewna hrabina otrzymała unieważnienie małżeństwa, ponieważ miała wspomnieć jakiejś przyjaciółce, że nie chciałaby mieć dzieci. Której młodej kobiecie, dziś, w epoce szczupłych talii, nie zdarzy się wspomnieć czegoś podobnego? — chodzi tylko o świadków, a na szczęście „*nie brak świadków na tym świecie*”, jak już zauważył Fredro, zwłaszcza jeśli grozi im w najgorszym razie lekka pokuta kościelna. W innym znowu wypadku, inna droga okaże się lepszą. Znam — jak wspomniałem — wypadek świadectwa lekarskiego niezdolności do „skonsumowania” małżeństwa, wystawionego ślicznej pani po to, aby natychmiast zawarła drugie małżeństwo, które skonsumowała niczym kanapkę z kawiozem. Znam unieważnienie małżeństwa z powodu takiejże niezdolności „skonsumowania”, udzielone... matce dwojga dzieci z tymże właśnie małżonkiem. *Polaku-Katoliku!* ja jestem, a przynajmniej byłem, lekarzem; i w tym charakterze wiem niejedno: lekarze mówią dość szczerze między sobą. Ale wystarczy po prostu widzieć i słyszeć, co się naokoło dzieje. Byłem świadkiem w miejscu kąpielowym, jak przy bridżu ksiądz, i nie byle jaki, dowiedziawszy się, że jego świeżo poznana partnerka zamierza się rozwodzić, ofiarował jej swoją pomoc i umówił z nią konferencję celem wtajemniczenia jej w najlepsze sposoby. Wszystko bardzo na wesoło, w tonie rozgrywki bridżowej.

Wszystko to idzie jak z płatką; ma — jak powtarzam — tylko jedną ujemną stronę: jest diablo drogie. I stąd wynika paradoks, który, sądzę, jest specjalnością naszego kraju. Niech *Polak-Katolik* sporządzi sobie listę współpracowników naszych pism bogobożnych, klerykalnych, prawicowych, czy jak je nazywają: niech się przekonają, wśród tych, którzy najdzielniej szer-



mują zawodowym piórem w obronie katolicyzmu i nierozzerwalności małżeństwa, *ilu jest ewangelików*; zmienili wiarę dla celów rozwodowych.

Chcesz, *Polaku-Katoliku*, „anegdotek”? Opowiem ci jeszcze jedną: mam ją wprost od kobiety, która ją nader boleśnie przeżyła. Obyczaje, Religia Młoda osobę, pragnącą rozwodu, zwrócono do konsystorskiego adwokata, znanego i szanowanego prawnika. Ten oznajmił jej, że trzeba się będzie udać do zaufanego lekarza, który, za pomocą niewielkiej operacji, stworzy jej sztuczne dziewictwo, które znów świadkowie stwierdzą i przed konsystorzem zaprzysięgną. Kiedy młoda kobieta, zawstydzona i zgorszona, wahała się, konsystorski adwokat powiedział jej, że trzeba się zdecydować i że lepszy taki sposób, niż gubić duszę przejściem na protestantyzm. Klientka podziękowała i... przeszła na protestantyzm.

Cóż rozpusta obłudy! Konsystorz posyła do adwokata, adwokat do lekarza, lekarz sprowadza świadków, którzy świadczą przed konsystorzem. Dosłownie *circulus vitiosus* [8], bardzo vitiosus...

Nie, *Polaku-Katoliku!* na nic się nie zda nazywać oszczerstwami faktów, o których wróble na dachach świergocą [9]. Gdyby ci, którzy wiedzą, zechcieli mówić, włosy by wam na głowie powstały. Nie, nie mogą najpoważniejsze i coraz częstsze sprawy w życiu opierać się wyłącznie na fałszu i świętokradztwie. Kto broni

tego stanu rzeczy, kto śmie go nazwać — jak *Polak-Katolik* — „podstawą moralności ludzkiej” — ten jest wrogiem religii.

Handel. Kościół katolicki jest wielki i potężny, ja jestem tylko skromny mędrzec. Ale powiem oto rzecz godną uwagi: Jedno z największych przesileń, jakie Kościół od czasu swego istnienia przeżył, wynikało z handlu odpustami; otóż czeka niechybnie Kościół jeszcze jedno ciężkie przejście, mianowicie z powodu handlu rozwodami. Bo wszelki handel ma to do siebie, że podlega nieubłaganym prawom wolnej konkurencji handlowej.

W końcu ostatnie wyjaśnienie: *nie jestem masonem*. Była chwila, że miałem ochotę nim zostać; tak mnie szarpano z prawa i z lewa, że myślałem sobie, iż trzeba do kogoś należeć, gdzieś głowę skłonić. Ale ani rusz nie mogłem trafić do miejsca, gdzie się wstępuje na masona. Dowiedziałem się o tym dopiero niedawno w Paryżu, skąd wróciłem uzbrojony w poważne rekomendacje francuskiej loży: i nasze masony nie chciały mnie za swego! Nie jestem dla nich dość poważny; u masonów, jak w *Bracie marnotrawnym* Wilde'a, też trzeba mieć na imię Ernest... To zatem, co mówię, mówię jedynie z własnej potrzeby: chciałbym, aby w stosunkach ludzkich, w odrodzonej Polsce, było trochę mniej nierówności, trochę mniej ucisku, trochę mniej kłamstwa i obłudy. Czyżby te ideały były *Polakowi-Katolikowi* tak nienawistne? □

HALINA KRYWAK

SZACUNEK DLA JĘZYKA OJCZYSTEGO – POLSZCZYZNY – A PATRIOTYZM

Żyjemy w erze nieustannego pośpiechu i nie mamy czasu na zastanawianie się, sprawdzanie, uczenie się. A przecież winniśmy się uczyć przez całe życie, nawet jeśli szkoła dobrze spełniła swoje zadanie.

Często używa się w naszym kraju - przed wyborami szczególnie - słowa Ojczyzna (właśnie pisanego i „mówionego” dużą literą, czyli z szacunkiem) i słowa patriotyzm, którego powiązania z polskim rzeczownikiem ojczyzna jest świadom każdy, nawet jeśli nie otarł się o znajomość łaciny.

Są różne wykładnie pojęcia patriotyzmu, liczne konflikty wynikające z prób ustalenia, kto jest patriotą, a kto nie i według kogo. Jedni chcą go mierzyć deklaracjami przelewania krwi, inni rzetelnością w płaceniu podatków. Niekiedy stosunek do pewnych wydarzeń historycznych ma decydować o tym, czy ktoś jest patriotą czy nie, a nawet czy jest Polakiem. Dużo w tym wszystkim relatywizmu i subiektywizmu. Mieliliśmy w naszej historii wiele tragicznych wydarzeń, które stałe dzieliły naród, szczególnie od czasów sprzed rozbioru Polski w XVIII w. Po czyjej stronie było patriotycznie, a po której zdradziecko? Mówimy o własnym życiu, że to, co było, to przeszłość, przyszłość jest wielką niewiadomą, więc liczy się tylko to, co teraz, ale teraz należy wyciągać wnioski z doświadczeń przeszłości. Tak samo powinno być z historią. Moja mądra nauczycielka historii w liceum uczyła nas, że należy znać czas danych wydarzeń, jego przyczyny i skutki, ale bez interpretacji,

bo każda ze stron miała swoje argumenty i nie należy tego oceniać. A przecież każdy z nas miał swoje własne doświadczenia zarówno dobre, jak i złe, ale nikt nie ma prawa tego osądzać, bo nie znał całego kontekstu wydarzenia poza daną osobą. Słuchając i czytając najróżniejsze opinie o Niemcach, Ukraińcach, Rosjanach, Żydach, muzułmanach itp. zastanawiam się, czy ci ludzie znają historię i pochodzenie własnych przodków. Moi antenaci są całkowicie wymieszani – byli to nie tylko Polacy, ale Francuzi (m.in. żołnierz napoleoński), Austriacy (Galicja), Rusini, nawet jakaś księżniczka serbsko-chorwacka. Po czyjej mam być stronie? Szczególnie w sprawie Ukrainy i Unii Europejskiej. Babcia pochodziła z rodziny polsk rusińskiej, gdzie dziewczęta po matce były wychowywane na Polki w wierze katolickiej, a chłopcy jako Rusini w wierze greko-katolickiej. Jeden z braci babci ożenił się z Polką i był oficerem w polskim wojsku, zamordowany w Katyniu przez Rosjan, drugi ożeniony z Rusinką był żołnierzem UPA, zamordowany przez żołnierzy AK, trzeci zesłany przez Stalina na Syberię, wrócił do domu uwolniony przez Chruszczowa. Takich przypadków w naszej przeszłości było wiele i nie tylko na terenach wschodnich, ale na Śląsku, w Wielkopolsce, na Kaszubach.

Może nadszedł czas, by wreszcie zacząć myśleć o własnym kraju, dostrzegając w każdym polskim obywatelu lub gościu człowieka, który czuje, myśli, ma radości i smutki. Bądźmy humanistami, a nie ja-

skiniowcami walczącymi o ogień. Szanujmy innych ludzi od niemowląt począwszy, a na starszych osobach skończywszy. Szanujmy pracę i bądźmy w niej solidni, bo daje nam ona byt, a wytwory naszej pracy powinny dobrze służyć innym obywatelom. Szanujmy przyrodę, bo jesteśmy jej częścią, zwolnijmy w pogoni za posiadaniem, a dajmy sobie czas na literaturę, rozmowy, refleksję, a przede wszystkim dbajmy o czystość naszego języka ojczystego, bo tak naprawdę tylko te czynniki świadczą o naszym patriotyzmie i człowieczeństwie.

Jedyną, pewną i obiektywną kategorią polskości jest bowiem język. Nie jest międzynarodowy, nie jest też łatwy. Może nie ma potrzeby uczenia się go, bo nieprzydatny w reszcie świata (kaleczona angielszczyzna przecież wystarczy). Jest jednak nasz, z nim od pokoleń wrostamy, w nim myślimy, używamy go tutaj - w Polsce. Jeśli uczą się go cudzoziemcy, to dlatego, że z Polską są w jakiś sposób związani pracą, nauką, czasem rodzinnymi emocjami, a czasem Polska jest dla nich tylko tymczasowym schronieniem przed złem w ich krajach.

Czymże były podejmowane przez naszych przodków wysiłki, by ten język zachować, jeśli nie przejawem patriotyzmu. „Nie damy pogrześć mowy” brzmi archaicznie nie tylko ze względu na użycie historycznej już formy czasownika „grzebać”, ale ze względu na - jak nam się wydaje - brak zagrożenia dla polszczyzny w obecnych czasach. W istocie, nie musimy się jej uczyć na tajnych kompletach, w szkole jest językiem wiodącym, nikt nas nie przesładuje za mówienie po polsku, obowiązuje w urzędach, media też się nim posługują. Nie ma zagrożenia zewnętrznego - nikt nam nie narzuca obcego języka, starając się wyeliminować nasz. Jednak czy nie ma zagrożenia w ogóle? Czy sami nie grzebiemy – posługując się już współczesną formą - naszej mowy?

Język ewoluuje, odzwierciedla zmiany społeczne, rozwój techniczny, przemiany w sposobie komunikowania się, wpływ języków obcych. Można długo wymieniać. Są specjaliści piszący obszerne prace naukowe o tej tematyce. To naturalne, ale jest pewien trzon, który pozostaje niezmienny, który decyduje o istocie danego języka. Zespół zasad, które czynią go zrozumiałym, bogatym i pięknym. To, na ile chcemy je respektować, świadczy o naszym szacunku dla języka ojczystego, czyli o tym, co bezsprzecznie jest elementem patriotyzmu. Świadczy też o szacunku dla ludzi, z którymi się komunikujemy. I nie chodzi tu o brak ewentualnych inwektyw czy wręcz wulgaryzmów, które zadomowiły się w naszych przekazach (to, niestety, odrębny temat), ale rzecz w logice, w klarowności i jednoznaczności pisanych czy wypowiedzianych treści.

Nasz odbiorca ma prawo oczekiwać komunikatu zrozumiałego. Nie musi domyślać się, co chcieliśmy mu przekazać, natomiast przez nieskładności, pominięcia, użyte niezgodnie ze znaczeniem słowa, błędną odmianę (zamiast biernika dopełniacz np. „ubierz buta”, „daj mi torta”) interpunkcję czy jej brak, staje się niezrozumiałe i po prostu razi. Wreszcie odbiorca naszej informacji ma prawo obcować z tekstem lub wypowiedzią, które będą poprawne i zrozumiałe (minimum) np. wszelkie pisane instrukcje, a jeśli teksty wygłaszane, to z odpowiednią dykcją i głośnością, odzwierciedlającą bogactwo naszego osobistego języka. **Non-szalancja (żeby nie powiedzieć niechlujstwo) jest na przeciwnym biegunie do szacunku.** Przedstawiając się obcej osobie mruzcimy swoje nazwisko czy imię, a potem dziwimy się, że ktoś je przekręca. Tymczasem, to nasza wina, bo okazaliśmy temu człowiekowi brak szacunku. Szczególnie o dykcję, i nie tylko, powinni dbać dziennikarze i aktorzy. Czy osoby odpowiedzialne za ich wykształcenie i zatrud-

nienie zwracają na to uwagę? Sądząc po wynikach, chyba raczej nie. A może osoby te uważają, że mając mikrofony nie muszą się wysilać? Często siedząc niedaleko sceny w teatrze, zwykle wiele wysiłku muszą włożyć, by zrozumieć dialogi między bohaterami spektaklu.

Uczono mnie w szkole, że nie zaczyna się wypowiedzi od „yyy”, „eee”, „a więc”. W telewizji słyszę to nagminnie, szczególnie wśród zaproszonych gości. Na uwagę zasługuje również kultura dyskusji, a właściwie jej brak: przerywanie interlokutorowi, mówienie równoczesne obu uczestników, a czasem dołączanie do tego chaosu i przekrzykiwanie się również prowadzący program. A przecież to jego rola, by kierować dyskusją i nie dopuszczać do tego typu rozmów. Natomiast taki spektakl świadczy o braku szacunku dla widzów czy słuchaczy.

Ktoś powie, że żyjemy w erze nieustannego pośpiechu i nie mamy czasu na zastanawianie się, sprawdzanie, uczenie się. A uczymy się całe życie, nawet jeśli szkoła dobrze spełniła swoje zadanie. I tu jest problem. Czy spełnia? Czy dzisiejsza szkoła uczy podstaw poprawnej polszczyzny? Czy zakłada, że skoro wszyscy mówimy po polsku i jakoś się porozumiewamy, więc po co mamy się go uczyć? Sądząc po upowszechnianiu się absolutnie elementarnych błędów, najwyraźniej szkoła z tego zadania jednak się nie wywiązuje.

Przykład. Ucząc się języka obcego - co naturalne - na pierwszych lekcjach kursu dla początkujących poznajemy zaimki osobowe, ich formy i reguły, którym podlegają. A w przypadku języka polskiego? Odpuszczamy. Mało kto wie, że np. *mi* i *mnie* nie są wymienne i że wyrażenia *Mi się to podoba* czy *Mi się tak wydaje* są gwałtem zadawanym językowi polskiemu, a jedynie poprawne są *Mnie się to podoba* i *Mnie się tak wydaje*. Zaś *mi* w zdaniu: *Podoba mi się, Wydaje mi się* ta forma jest poprawna.

Skoro szkoła nie koryguje błędów (istnieje uzasadniona obawa, że wręcz je utrwała) i jesteśmy zdani na siebie, tym bardziej powinniśmy być czujni i krytyczni. Słownik poprawnej polszczyzny, ortograficzny czy frazeologiczny mają formę internetową, a więc dostosowaną do dzisiejszego szybkiego życia. Trzeba tylko chcieć z nich korzystać. Chcieć dbać o język polski. Bez tego nasze patriotyczne deklaracje mogą brzmieć fałszywie.

Np.: Deklarują miłość do ojczyzny, a kaleczą język ojczysty. „Ktury”, „pożadek”, „chańba” – oto ortografia patriotów.

Aż bolą oczy! Internet jest pełen tekstów, których autorzy z ortografią są na bakier. Wydawałoby się, że ci, którzy na ustach mają hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna”, o ojczysty język powinni dbać szczególnie. Niestety, sprawdza się stara prawda, że pod latarnią najciemniej. Wśród tzw. prawdziwych Polaków „używanie” języka polskiego często pozostawia wiele do życzenia.

Przeglądając posty i komentarze wielu osób, które w internecie deklarują się jako patrioci, aż przecierałam oczy ze zdziwienia. Bo nawet jeśli są dyslektykami, to z szacunku dla ojczyzny powinni skorzystać ze słownika, zanim coś napiszą. A problemy mają już z najprostszymi słowami.

Nie do przyjęcia jest wiele e-maili pisanych do indywidualnych osób przez różne firmy. E-mail, to elektroniczny list i obowiązują te same zasady, co w listach papierowych. A więc zwrot do adresata: „*Szanowna Pani!*” „*Droga Czytelniczko!*” „*Pani Elwiro!*” a nie „*Cześć Iwona!*” (powinien być wołacz) do nieznannej osoby. To „*cześć*” świadczy o braku szacunku dla adresata.

Zakończenie: „*Z poważaniem Maria Kowalska w imieniu Zespołu...*” „*Dziękuję za... Iwona Nowak dyrektor*” itp. a nie „*Zespół Organizacji X*” „*Przedstawicielstwo firmy*”. Podpisać się winno imieniem

i nazwiskiem, bo nie pisze tego na jednym komputerze kilka osób, tylko jedna konkretna osoba, która odpowiada za zamieszczone treści i powinna mieć odwagę podpisać się. Poza tym, jeśli adresat chce odpisać, to nie użyje zwrotu np. „Szanowne Przedstawicielstwo!” czy „Drogi Zezpole Organizacji X”.

Jedyny wniosek, jaki się nasuwa, to zmiana programu szkolnego i form sprawdzania umiejętności. W przypadku języka powinna być to zupełnie inna forma sprawdzająca zarówno wiedzę z nauki o języku (w dzisiejszych testach, to zwykle jedno polecenie) i wypracowania z literatury. Jednak, aby tak się stało, trzeba zmienić program nauczania i podzielić godziny lekcyjne na li-

teraturę (znajomość lektur, formy wypowiedzi mówionej i pisanej, analiza utworów – w formie dyskusji, teoria literatury w klasach ponad podstawowych) i naukę o języku – w klasach 4-6 np. podstawy fonetyki (poznawanie narządów mowy, prawidłowa dykcja), części mowy i ich formy, podstawy składni zdania pojedynczego, interpunkcja, ćwiczenia mające na celu wzbogacanie słownictwa, w klasach 7-8 pozostałe (m.in. składnia zdania złożonego, związki frazeologiczne, słownictwo, rodzaje stylów wypowiedzi), w szkołach ponad podstawowych utrwalanie i ew. poszerzanie wiedzy gramatycznej zdobytej w szkole podstawowej. □



STYLIZACJA

Przyjaciółka Sary Bernhardt zapytała ją kiedyś:

- Jak ucharakteryzować starą kobietę?
- To jest najprostsze, moja droga – odrzekła Sara. – Wystarczy tylko zetrzeć puder.

ZAPOBIEGLIWOŚĆ

Radzono raz królowi Filipowi Pięknemu, żeby skazał na wygnanie człowieka, który źle o nim mówił. Odpowiadając na te rady, król rzekł:

- Nie zrobię tego, bo będzie mówił jeszcze gorzej.

KULA W ŁEB, CZYLI KRYZYS ETOSU BELFRA

Scenę tę znają już chyba wszyscy. Podczas dyskusji w Sejmie jeden z posłów PiS, nijaki Edward Siarka uniesiony wzmożeniem patriotycznym wykrzykuje pod adresem premiera słowa: „kula w łeb!”.

Później, w obliczu powszechnej dezaprobaty nieszczęsny ów poseł tłumaczył się, że zacytował fragment utworu W. Broniewskiego. Nawet posunął się do przeprosin: „jeśli ktoś poczuł się urażony”. I tu można by zamknąć sprawę, przyjąwszy tłumaczenie posła – deklamatora.

Jednakże nie tym razem. Ów poseł bowiem jest nauczycielem. Studiował historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Potem nauczał, a następnie został dyrektorem szkoły. Dobry przykład rozwoju zawodowego, a jednak czuje się niesmak. Człowiek ten działający w małym środowisku społecznym zostaje posłem. Wchodzi do elity społecznej. Tak mogłoby się wydawać. Podejrzewam, że jego rodzina, znajomi, byli podwładni, a wreszcie uczniowie mogli z dumą powie-

dzieć: nasz człowiek, sąsiad, belfer został posłem. Fajnie!

No, niezupełnie. Przecież pan poseł dał przykład wyjątkowego braku poczucia kultury. O braku wychowania nie wspomnę. W momencie autorytet nauczyciela, historyka, wychowawcy legł w gruzach. Nie ma co zbierać. Panie pośle, czy w ten sposób uczy się młodzież udziału w świadomym życiu społecznym? Czy znane jest panu pojęcie mowy nienawiści? Czy jest pan pewien, że wszyscy pańscy uczniowie wciąż czują siłę pańskiego autorytetu? Wiem dobrze, że nawet najgłupsza wypowiedź może zabić, chociażby jej autor nie miał takich intencji.

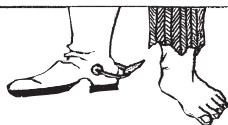
Można by darować tę niedobrą frazę komuś bez wykształcenia, ale magister historii UJ winien od siebie więcej wymagać. Jeden z naszych królów rzekł niegdyś, że „słowo z gęby wróblem wyfrunie, a powraca wołem”. Który to król? Historyk powinien to wiedzieć. □

Piotr Augustynek



SAMOKRYTYKA

Hrabia Honoré de Mirabeau, działacz i pisarz polityczny, znany ze swych licznych przygód miłosnych, napisał kiedyś do swej przyjaciółki Zofii de Monnier: „Ech, droga przyjaciółko, to my robimy z kobiet to, czym one są, i dlatego są one nic niewarte”.



Postanowiliśmy zaprezentować refleksje czynnych zawodowo nauczycieli dotyczące zwolnienia szkoły od sztywnego gorsetu biurokratycznego traktowania procesu dydaktycznego. Edukacja w dzisiejszej rzeczywistości wymaga działań nietypowych, interdyscyplinarnych, wolnych od sztamki. Zasada dzielenia się przejawami dobrej praktyki jest ze wszech miar słuszna.

Red.

MAGDALENA BYLICA

Nauczyciel współczesnej szkoły ma przed sobą nie lada wyzwania. Przede wszystkim nadążyć i zrozumieć młode pokolenie, które dojrzewa/dorasta w cyfrowym świecie. I może nie byłoby to trudne do wykonania, gdyby nie przestarzały system, narzędzia, zasady czy formy. Jak zatem pogodzić przestarzałe z nowoczesnym? Pytanie to otwiera pole do dyskusji na temat koniecznych zmian w edukacji.

Z całą pewnością nie wystarczy zamienić wiedzy o społeczeństwie na historię i teraźniejszość czy wychowania do życia w rodzinie na edukację zdrowotną. Tu potrzebna zmiana systemowa, wprowadzana powoli, z dużą dawką cierpliwości i z tolerancją wobec błędów.

Jednym z takich rozwiązań jest wprowadzenie różnorodności np. poza systemem klasowo-lekcyjnym. Często sądzi się, że młodzież nie lubi lekcji o sztuce, historii. Właśnie praktykowanie tego typu zajęć nieszablonowo, niejako poza systemowo może dać ciekawe efekty. Prócz treści podstawy programowej z przedmiotów: język polski, historia, plastyka, geografia, wychowanie fizyczne, realizujemy program wychowawczo-profilaktyczny, pokazując możliwości spędzania wolnego czasu bez telefonów i innych uzależnień.

*„Powiedz mi, a zapomnę, pokaż mi, a zapamiętam,
pozwól mi zrobić, a zrozumiem.”*

Konfucjusz

INNOWACJA PEDAGOGICZNA

W cztery strony świata sztuki i kultury

Zakres innowacji:

Adresatami innowacji są zainteresowani uczniowie klas V – VIII.

Zajęcia innowacyjne odbywać się będą podczas zajęć lekcyjnych i wyjazdów pozalekcyjnych połączonych z grami terenowymi w Krakowie i okolicy (przewiduje się również wyjazdy w dni wolne od nauki).

Niniejsza innowacja ma na celu szerzenie idei tworzenia środowiska sprzy-

jającego życiu bez uzależnień, zdobywania wiedzy, samokształcenia, współpracy w zespole, pracy metodami innowacyjnymi, wykorzystywania TIK, poznawania zabytków i skarbów regionu.

Ma ona ponadto motywować uczniów do poszerzania horyzontów, uwrażliwiać na sztukę, język, wzbudzać tolerancję dla indywidualnego wyrażania i interpretowania tekstów kultury.



Muzeum Czartoryskich – Kraków

Motywacja wprowadzenia innowacji:

Człowiek najlepiej uczy się poprzez udział i doświadczanie, poprzez emocje i pytania, jakie temu doświadczaniu towarzyszą.

Innowacja *W cztery strony świata sztuki i kultury* jest odpowiedzią na potrzebę poznawania historii, historii sztuki, bogactwa tejże sztuki i architektury. Ponadto uczeń staje się aktywnym i świadomym uczestnikiem procesu dydaktycznego, ma poczucie jego współtworzenia.

Opis innowacji:

I. Założenia ogólne

1. Innowacja skierowana jest do uczniów klas V - VIII.
2. Główne założenia pracy na innowacyjnych zajęciach:
 - odejście od tradycyjnego modelu nauczania – tradycyjnych jednostek lekcyjnych;

- poznawanie świata kultury i sztuki poprzez bezpośredni kontakt (zwiedzanie, poszukiwanie, badanie, uczestnictwo);
- zapoznanie z treściami zawartymi w podstawie programowej, połączenie ich z utworami muzycznymi, filmowymi czy dziełami sztuki;
- odejście od tradycyjnego modelu oceniania – ograniczenie ocen na rzecz informacji zwrotnej, recenzji;
- wszechstronny i harmonijny rozwój ucznia w tym szczególnie kontakt z teatrem, muzeami i innymi miejscami kultury,
- nabywanie ogłady i kultury osobistej w obcowaniu ze sztuką,
- rozwijanie postaw społecznych,
- zainteresowanie sprawami kultury i sztuki,
- umiejętność zagospodarowania czasu wolnego uczniów.

- Cele szczegółowe:
- poznanie elementów charakterystycznych dla stylów: romańskiego, gotyckiego, renesansowego i barokowego poprzez spacery i gry terenowe;
 - kształcenie umiejętności rozpoznawania stylów sztuki;
 - wskazanie uczniom, iż wiedzę mogą zdobywać nie tylko z podręczników ale i z innych źródeł;
 - zachęcanie do odkrywania nowych metod uczenia się i samokształcenia;
 - uwrażliwienie na sztukę;
 - przygotowanie uczniów do świadomego odbioru procesu dydaktycznego;
 - łączenie rozrywki z kompetencjami uczenia się;
 - wskazywanie intertekstualności i intermedialności pomiędzy tekstami kultury i treściami naukowymi;
 - wykorzystywanie mocnych stron w procesie uczenia się;
 - zwracanie uwagi na odpowiedzialność uczniów (co wpływa na ich rozwój dojrzałości);
 - stosowanie kryteriów sukcesu;

- korzystanie z taksonomii Blooma (wiedza, zrozumienie, zastosowanie, synteza, ocena);
- stosowanie JĘZYKA ŻYRAFY (wg Marshalla B. Rosenberga).

III. Metody i formy:

- Formy pracy w zespole, mniejszych grupach, a także praca indywidualna podczas spacerów i gier terenowych.
- Stosowanie metod aktywnych - główna zaleta tych metod polega na doskonaleniu umiejętności przydatnych nie tylko podczas lekcji, ale również w codziennym życiu, np. umiejętności wyciągania wniosków, myślenia analitycznego i krytycznego, łączenia zdarzeń i faktów w związku przyczynowo-skutkowe, umiejętności właściwego zachowania się w nowej sytuacji, komunikatywności, dyskusowania, kreatywności.
- Metody:
 - podające – podczas omawiania zabytków;



- praktyczne (np. planowanie działań, projekt);
- gry terenowe;
- ewaluacyjne (np. ankieta, barometr nastroju, termometr, informacja zwrotna, kosz i walizka, tarcza strzelecka);
- ekspresji i impresji (np. studium przypadku, symulacyjna);
- graficznego zapisu (np. mapa mentalna, sketchnoting).

IV. Przewidywane osiągnięcia:

Uczniowie:

- poznają style sztuki romańskiej, gotyckiej, renesansowej oraz barokowej, będą potrafili odróżnić style architektoniczne, wskazać elementy charakterystyczne dla poszczególnego stylu;
- poznają zabytki zlokalizowane w okolicy zamieszkania oraz w Krakowie;
- zdobywają wiedzę w sposób kreatywny, gdyż analizują różne teksty kultury;
- wykorzystują możliwości, jakie daje współczesny świat, by lepiej przyswoić

i zrozumieć treści zawarte w podstawie programowej;

- mają możliwość różnego sposobu odbioru treści programowych;
- uczą się tolerancji, wrażliwości na sztukę;
- uczą się w sposób innowacyjny – wychodzą ze szkolnej ławki, ze sztywno określonych ram czasowych, a także sami planują pracę i uczą się odpowiedzialności za podjęte decyzje, wyciągają wnioski z popełnianych błędów,
- uczestniczą w życiu kultury i sztuki,
- potrafią ciekawie organizować czas wolny bez uzależnień (od alkoholu, narkotyków, telefonów, gier).

Nauczyciele:

- wykorzystują różnorodne metody i formy w celu urozmaicenia procesu dydaktycznego, by uczniowie łatwiej przyswajali wiedzę oraz kształcili kluczowe umiejętności.
- są odpowiedzialni za realizację podstawy programowej i poszukują ciekawych form i metod pracy dla uczniów,



Wawel – komnaty królewskie



Muzeum Farmacji – Kraków

- wprowadzają uczniów w świat sztuki i kultury, wskazują miejsca warte odwiedzenia i spędzenia czasu,
- aktywizują uczestników innowacji do współorganizowania wyjść kulturalnych.

V. Tematyka zajęć:

Zagadnienia zostały opracowane w oparciu o podstawę programową kształcenia ogólnego dla II etapu kształcenia z przedmiotów: historia, plastyka, muzyka, język polski. Tematy ściśle łączą się ze stylami sztuki romańskiej, gotyckiej, renesansowej oraz barokowej.

Do każdego ze spacerów zostanie opracowany scenariusz zajęć oraz pomoce dydaktyczne.

VI. Ewaluacja

W celu uzyskania informacji zwrotnej nauczyciel przeprowadzi:

- ankietę dotyczącą sposobów, metod i form pracy;
- rozmowy indywidualne i grupowe z uczniami,
- rozmowy z rodzicami.

Szczegółowa analiza wyników ankiety, przeprowadzonych rozmów oraz wyników klasyfikacji pozwoli ocenić stopień realizacji zamierzonych celów. Działania te pomogą wyciągnąć wnioski, zaplanować pracę i ewentualnie zmodyfikować metody pracy. Podjęta zostanie także decyzja o ewentualnej kontynuacji innowacji.

Wszystkie wyniki i uwagi zostaną opracowane w sprawozdaniu oraz udostępnione dyrektorowi szkoły.

VII. Spodziewane efekty:

- rozwój procesu uczenia się uczniów;
- ukierunkowanie na odbiór sztuki i jej interpretację;



Lajkonik na Rynku Głównym w Krakowie

- poznanie i wykorzystanie mocnych stron uczniów w ich procesie dydaktycznym;
- podniesienie jakości pracy zespołowej (jako kompetencji przyszłości),
- pozytywny wpływ na rozwój psychospołeczny dzieci i młodzieży szkolnej.
- prowadzenie zajęć otwartych dla nauczycieli z różnych szkół (głównie powiatów: wadowickiego, oświęcimskiego oraz chrzanowskiego);
- promocja szkoły w środowisku lokalnym i ogólnopolskim.

VIII Wpływ na pracę szkoły:

- podnoszenie jakości pracy szkoły poprzez stosowanie nowych metod, łączenie tekstów kultury z treściami naukowymi;
- rozwój kompetencji społecznych i uczenia się;
- indywidualizacja nauczania – podnoszenie wyników edukacyjnych uczniów;

IX Podsumowanie

Niniejsza innowacja ma na celu zaprezentowanie korzyści płynących z odejścia od tradycyjnego nauczania i stosowanie gier terenowych oraz różnorodnych metod, odpowiednich do wieku uczniów i ich zainteresowań. Warto podkreślić także różnorodność i dowolność odbioru i interpretacji – wskazanie, że inaczej nie oznacza gorzej, co ma wpływ na rozwój uczniów, a nie zniechęca ich w procesie uczenia się. □

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

DUCHOWIEŃSTWO SPOD ZNAKU CYRKLA I WĘGIELNICY

Wśród wolnomularzy należących do łóż działających na ziemiach polskich, jak i w lożach zagranicznych, możemy odnaleźć reprezentantów kleru rzymsko-katolickiego; i to zarówno wysoko postawionych hierarchów, jak i zwykłych księży czy zakonników. Nie była to co prawda liczna reprezentacja, najwięcej (kilkadziesiąt osób) należało w pierwszym okresie, czyli do likwidacji masonerii w 1821 roku. Wśród nich znalazły się tak prominentne postacie jak m.in. prymas i biskup diecezjalny.

Przedstawiciele duchowieństwa innych wyznań chrześcijańskich również nie brakowało, ale były to przypadki incydentalne i dotyczyły głównie reprezentantów kościołów ewangelickich.

Gwoli przypomnienia: pierwsze organizacje wolnomularskie pojawiły się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej już w latach dwudziestych XVIII w., a za ich początki można przyjąć pojawienie się Bractwa Czerwonego w 1720 lub 1721. Niewiele o nim jednak wiemy, gdyż żywot tej struktury był stosunkowo krótki. Możliwe, że Bractwo było związane z masonerią jakobicką, czyli strukturami wolnomularskimi tworzonymi przez katolickich angielskich i irlandzkich emigrantów z Wysp Brytyjskich w niektórych krajach kontynentalnej Europy. Głównym ich celem był powrót na tron katolickiej dynastii Stuartów. Więcej informacji posiadamy o powstałej w Warszawie w roku 1729 loży „Trzech Braci” i dlatego ten rok przyjmuje się za początek „Sztuki Królewskiej” w Polsce. Największy swój rozkwit masoneria prze-

żywała w okresie panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, w Księstwie Warszawskim oraz w pierwszych latach funkcjonowania Królestwa Polskiego.

Wrogość Kościoła katolickiego wobec wolnomularstwa nie nastąpiła od razu, a spowodowane to było czysto koniunkturalnymi przyczynami. Jak już wspomniałem, dużą rolę w jej rozwoju odegrali emigranci z Wysp, którym zależało na powrocie Stuartów; zakładali oni loże w takich krajach katolickich jak Francja, Hiszpania, Polska, czy w samym centrum Państwa Kościelnego – Rzymie. Przez kilkadziesiąt lat papieństwo było czynnie zaangażowane w akcje organizowane w obronie pretendenta do tronu brytyjskiego Jakuba II Stuarta i jego syna, dlatego z życzliwością traktowało rozwój łóż jakobickich. Stuartowie otrzymali od papieża tytuł Katolickich Królów Anglii, a żona Jakuba III, wnuczka króla Jana III Sobieskiego Klementyna, tytuł Katolickiej Królowej Anglii.

Gdy jednak kolejne powstania jakobitów przeciwko protestanckiej dynastii hanowerskiej zakończyły się klęską, papieństwo nie widziało już interesu w dalszym sprzyjaniu rozwojowi katolickiej masonerii i przystąpiło do frontalnego ataku na wolnomularstwo poprzez bulle i encykliki: Klemensa XII z 1738, Benedykta XIV z 1751, Piusa VII z 1821; Leona XII z 1825; Leona XIII z 1884, czy poprzez inne dokumenty, jak: Kodeks Prawa Kanonicznego z 1917 (kanon 2335); Kodeks Prawa Kanonicznego z 1983 (kanon 1374) i z tego samego roku uściślająca go deklaracja Kon-



Gabriel Podolski

gregacji Nauki Wiary, aż po Deklarację Dykasterii Nauki Wiary z 2023.

Groźby ekskomuniki i potępienia nie przeszkadzały jednak przedstawicielom polskiego kleru rzymsko-katolickiego w przynależności do masonerii. Trudno oczywiście domniemywać co było przyczyną, że mimo grożącej anatemy wstępowali do niej. Można jedynie przypuszczać, że mogła to być np. m.in. ciekawość co do otoczonej nimbem tajemniczości organizacji mającej charakter ekskluzywnego klubu towarzyskiego, skupiającej głównie przedstawicieli wpływowej w państwie arystokracji, albo może idee oświeceniowe w jakimś stopniu preferowane i popularyzowane w lożach. Nie należy wykluczać, że mogły ich przyciągać motywy patriotyczne i chęć większego udziału w pracach nad reformami Rzeczypospolitej (okres Sejmu Czteroletniego), a później umacnianie namiastki państwowości (Księstwo Warszawskie, Królestwo Polskie).

Niektórych kapłanów, mających nieco niższy status społeczny, mógł przycią-

gać egalitaryzm loż, bo tylko w nich stawali się równi arystokratom i mogli pełnić wyższe od nich funkcje lożowe, co w pewnym sensie zapewne im imponowało. Możliwe, że chęć bycia masonem była spowodowana także czysto partykularnymi i prywatnymi interesami, a to z powodu możliwości bliskiego kontaktu z pierwszoplanowymi postaciami ówczesnej sceny politycznej, których przecież w ówczesnych lożach nie brakowało.

Niektórzy kapłani łączyli przynależność do loż z pełnieniem ważnych funkcji w strukturach kościelnych, inni związali się z masonerią po rozstaniu ze stanem duchownym, a jeszcze inni odwrotnie, po okresie aktywności w lożach, do niego przystępowali.

O wielu duchownych „w fartuszkach” mamy nikłe informacje, praktycznie ograniczające się do podstawowych, zawartych w obrazach (czyli wykazach członkowskich) poszczególnych loż, to jest do imienia i nazwiska, a czasami jedynie do nazwiska, funkcji kościelnej, funkcji w loży i jej nazwy, czasami okresu przynależności. Więcej możemy powiedzieć jedynie o tych, którzy odegrali znaczącą rolę w swoich kościołach lub bardziej albo mniej chwalebnie zapisali się w historii Polski, czy też szczególnie zasłużyli się dla „Sztuki Królewskiej”.

Do osób które łączyły przynależność do wolnomularstwa z najwyższymi funkcjami w strukturach polskiego kościoła rzymsko-katolickiego należał prymas Gabriel Podoski (1719-1777) i najprawdopodobniej prymas Michał Jerzy Poniatowski (1736-1794), oraz biskup wileński Nikodem Puzyna (1753-1819).

Gabriel Podoski był od 1767 członkiem założonej przez Alojzego Fryderyka Brühla warszawskiej loży „Pod Cnotliwym Sarmatą”, pracującej w rycie (czyli zespole ceremonii i obrzędów praktykowanych w danej loży) Ścisłej Obserwy (zwolennicy tego XVIII-wiecznego rytu

uwawali, iż masoneria wywodzi się z zakonu Templariuszy, a jego pełna nazwa brzmiała Święty Zakon Świętego Kościoła Jerozolimskiego).

W 1770 prymas Podoski na bankiet świętojański w nowo wzniesionym budynku łóżowym wypożyczył srebra stołowe i inne utensylia. Do tej nowej siedziby zakonu w uroczystym pochodzie przeszli wolnomularze przystrojeni w insygnia masońskie, wśród nich było kilku kanoników, którzy uczestniczyli w nim *incognito* (nie mieli na sobie utensyliów masońskich). Wydarzenie to wywołało oburzenie nuncjusza papieskiego Angelo Durini, który nie omieszkał zaraportować o tym Rzymowi.

Nie mamy jednak informacji, jakie ów raport wywołał reperkusje w stosunku do duchownych-wolnomularzy. Możemy jedynie domniemywać, iż raczej mierne, bowiem według g dostępnych źródeł żaden z nich nie został ukarany anatemą. Podoski święcenia kapłańskie przyjął w 1743 roku i prawdopodobnie to wówczas odprawił jedyną w swoim życiu mszę – prymicyjną. Prowadził świecki tryb życia. Karierę polityczną zaczął w czasach saskich jako faworyt Henryka Brühla, w czasie ostatniego bezkrólewia był jednym ze stronników kandydatury saskiej. Współorganizował konfederację radomską w 1767. W tym samym roku, dzięki wsparciu posła rosyjskiego Nikołaja Repnina, uzyskał nominację na arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski, którą zatwierdził papież Klemens XIII.

Podoski opowiadał się za równouprawieniem dysydentów i wolną elekcją. Opracował projekt oddzielenia kościoła katolickiego w Polsce od Państwa Kościelnego. W czasie konfederacji barskiej nie spełnił rosyjskich oczekiwań i przez pewien czas był aresztowany. Skłócony z Repinem wyjechał z Polski i przez Gdańsk udał się do Francji, gdzie zmarł w Marsylii i został pochowany w tamtejszej katedrze; istnieje

hipoteza, że został otruty. W czasie rewolucji 1789 katedra ta została splądrowana, a szczątki prymasa wrzucono do Zatoeki Marsylskiej.

O ile przynależność Podoskiego do wolnomularstwa jest pewna – mamy na to źródła pisane – o tyle przynależność drugiego prymasa, Michała Jerzego Poniatowskiego, już taka pewna nie jest. Źródła pośrednie sugerują jedynie, że mógł być inicjowany w trakcie swego pobytu w Anglii, gdzie przebywał między listopadem 1790 a czerwcem 1791. Michał Jerzy to młodszy brat króla Stanisława Augusta. W 1760 uzyskał święcenia kapłańskie, księdzem został z pobudek materialnych. W 1773 został biskupem plockim, a w 1785 uzyskał prymasostwo.

Jako prymas działał na rzecz rozwijania wrażliwości moralnej wiernych, zamiast czysto zewnętrznych form kultu religijnego. W 1775 stanął na czele Komisji Edukacji Narodowej, patronował m.in. reformie Akademii Krakowskiej przeprowadzanej przez Hugona Kołłątaja, dla której był do końca życia hojnym mecenasem. Był wytrawnym politykiem i dyplomata. Przez lata jako najbliższy współpracownik króla stał na czele tzw. „stronnictwa prymasowskiego”. Będąc zwolennikiem orientacji prorosyjskiej, starał się równoważyć aneksjonistyczną wobec Polski politykę Prus, budował jednocześnie przeciwwagę dla wpływów Repnina. Polityka ta doprowadziła jednak do uznania Michała Jerzego w czasie insurekcji kościuszkowskiej za zdrajcę i wzniesienia przed Pałacem Prymasowskim przeznaczonej dla niego szubienicy. Zmarł nagle, pośmiertnie pomawiany o samobójstwo.

Nikodem Puzyna, ksiądz, został wyświęcony na księdza w 1776. W latach 1815-1816 wikariusz generalny diecezji wileńskiej, w 1814 biskup pomocniczy wileński, a od 1817 biskup diecezjalny. Prawdopodobnie został inicjowany w wileńskiej loży „Gorliwy Litwin” przed



Wojciech Szweykowski

1780, bowiem w spisie członków widnieje w tym roku jako II Dozorca. Po wskrzeszeniu działalności tej loży w 1816 została jej pierwszym Mistrzem Katedry (przewodniczącym).

Wileńska masoneria charakteryzowała się stosunkowo licznym udziałem kleru w swoich szeregach. Możliwe, że jakiś wpływ miała na to wolnomularska działalność biskupa Puzyny. Można tu wymienić np. kanonika Szymona Porazińskiego, członka loży „Gorliwy Litwin”, jej Pieczętarza, czy członków tej samej loży: Atanazego Ihnatowicza, doktora teologii, kaznodziei Uniwersytetu Wileńskiego, kapelana seminarium; Floriana Bobrowskiego (1779-1846), jezuitę, proboszcza–leksykografa, czy Hieronima Stroynowskiego (1752-1815) i Michała Dłuskiego (1760-1821).

Hieronim Stroynowski w wieku 14 lat wstąpił do zakonu pijarów. Należał do świątliwszych postaci swojej epoki, epoki Voltaire’a i Rousseau. Przez kilka lat wykładowca w Collegium Nobilium, gdzie uczył – prawdopodobnie jako jeden z pierwszych w języku polskim – logiki, geometrii, nauki moralnej i prawa. W 1780 Komisja Edukacji Narodowej oddelegowała go do Wilna do pracy w reformowaniu tamtejszej Akademii, w której w la-

tach 1799-1806 pełnił stanowisko rektora. Zwolennik fizjokratyzmu, szkoły ekonomicznej stworzonej we Francji w drugiej połowie XVIII w., głoszącej hasła porządku naturalnego, znaczenia pracy, rolnictwa i ziemi jako jedynych źródeł bogactwa. Zaangażowany w reformy w okresie Sejmu Czteroletniego, zagorzał zwolennik Ustawy Rządowej. Zmarł niespodziewanie po nagłej chorobie w przeddzień swojego ingresu na biskupstwo wileńskie.

Inicjowany zapewne przed 1780 do loży „Gorliwy Litwin”, bowiem według spisu jej członków rok później został w niej Jałmużnikiem. W tym samym mniej więcej czasie był sekretarzem kilkusobowej Rady, która organizowała prace loż wileńskich. O jego działalności wolnomularskiej praktycznie nic nie wiemy, bowiem archiwa lożowe z tego okresu zostały zniszczone lub bezpowrotnie zaginęły. Po 1788 jego nazwisko nie pojawia się już w zachowanych materiałach źródłowych i z tego względu można domniemywać, iż wówczas wycofał się z uczestnictwa w masonerii.

Michał Dłuski to jeden z najaktywniejszych i najwybitniejszych wileńskich masonów przełomu XVIII/XIX w. W latach 1795-1807 sekretarz biskupa wileńskiego Jana Nepomucena Kossakowskiego i jednocześnie od 1797 członek Komisji Edukacyjnej Litewskiej. 1801-1821 archidiacon kapituły, 1808-1812 oficjał generalny (wikariusz sądowy). Za swoją pronapoleońską postawę na zesłaniu 1813-1814. Inicjowany w 1786, pełnił funkcję przewodniczącego loży „Szkoła Sokratesa”, „Doskonała Jedność”, „Gorliwy Litwin”, jak też Kapituły Wyższej w Wilnie (zrzeszającej masonów stopni wyższych), reprezentant wileńskich masonów w Najwyższej Kapitulie. Posiadał członkostwo honorowe m.in. loży „Pochodnia Północna” w Mińsku, czy „Szczęśliwe Oswobodzenie” w Nieświeżu. W 1817 wydał anonimowo *List Rabina Lizbońskiego do Rabi-*

na Brzeskiego. *Z dialektu Rabińsko-Talmudycznego przetłumaczony*, będący apologią masonerii.

Spośród innych katolickich kapłanów -*wolnomularzy* z przełomu XVIII/XIX w. można jeszcze wymienić np. Wojciecha Szweykowskiego (1773-1838), czy Konstantyna Dembeka (1772-1828).

Wojciech Szweykowski po ukończeniu w 1789 r. szkoły pijarskiej w Łomży wstąpił do tego zgromadzenia. Po odbyciu nowicjatu w Drohiczynie podjął studia filozoficzne w Łomży, później był nauczycielem w kolegiach warszawskich i podprefektem Collegium Nobilium. W międzyczasie podjął studia teologiczne i w 1796 otrzymał święcenia kapłańskie. Następnie powrócił do Łomży, gdzie objął stanowisko nauczyciela fizyki i matematyki, jak też wymowy. Z czasem objął funkcję prefekta szkoły, będąc jednocześnie zastępcą profesora w tamtejszym seminarium nauczycielskim.

W 1802 wysłany został przez władze szkolne do północnych Niemiec, Saksonii i Berlina, gdzie poznawał organizację i metody pracy szkół, a także studiował język i literaturę niemiecką. Po powrocie do kraju objął posadę profesora w Gimnazjum Płockim, a następnie otrzymał stanowisko rektora szkoły departamentowej w Sejnach. Był członkiem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Działał też w Towarzystwie Ksiąg Elementarnych. Po zorganizowaniu w roku 1817 Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego był prodziekanem, a następnie dziekanem Wydziału Teologicznego oraz pierwszym rektorem tejże uczelni aż do 1831 roku. W roku 1822 kapituła płocka podniosła go do godności prałata-kustosza. Należał do najwybitniejszych działaczy oświatowych Królestwa Polskiego. Do masonerii został prawdopodobnie inicjowany, gdy pracował w płockim gimnazjum. Jest odnotowany jako członek płockiej loży „Albertyna Doskonałości”.

Konstanty Dembek był karmelitą trze-wiczkowym, teologiem. W latach 1808-1816 był dyrektorem, a następnie do 1826 dzierżawcą Drukarni Rządowej w Warszawie i wykładał teologię na Uniwersytecie Warszawskim. Był członkiem i przez pewien czas przewodniczącym warszawskiej loży „Świątynia Izis”, II Dozorczą Wielkiego Wschodu Polski, jak też honorowym członkiem takich łóż jak „Szkoła Sokratesa” (Wilno), „Świątynia Równości”(Lublin), „Cnota Uwieńczona” (Dubno, a później Rafałówka), czy „Doskonała Tajemnica” (Dubno). W 1821 związał się z Towarzystwem Patriotycznym oraz Wolnomularstwem Narodowym. W 1826 za tę działalność został aresztowany, zmarł w więzieniu.

Wśród emigrantów po Powstaniu Listopadowym nie zabrakło wolnomularzy, w tym też księży. Ilu ich było, tego nie wiemy. W zachowanych materiałach źródłowych jest wymienionych kilku; m.in. Józef Alojzy Jackowski 1798 – po 1866), pijar, kapelan w powstaniu listopadowym. Wolnomularzem został jeszcze w Królestwie Polskim. Był członkiem warszawskiej loży pracującej w języku niemieckim „Göttin von Eleusis” oraz Kapituły Niższej (stopnie 4-6) „Rycerze Gwiazdy”. Przed sierpniem 1832 afiliował się do polskiej loży „Perseverance-Esperance”-„Wytrwałość-Nadzieja” w Besançon (Wielki Wschód Francji), a w następnych latach do innych łóż. Z czasem uzyskał trzydziesty stopień wtajemniczenia.

Ciekawostką może być, iż trzech (z pięciu) założycieli w 1842 Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego (zmartwychwstańców) miało za sobą staż masoński. Byli to Karol Kaczanowski (1800-1873) – w 1834 roku widnieje w spisie członków loży „Les Amis de Sagesse” w Paryżu (Wielki Wschód Francji) jako jej Przysposobiciel; Hieronim Kajsijewicz (1812-1873), w latach 1845-1847 i od 1855 do śmierci przełożony zmartwychwstań-

ców. W 1832 Mówca polskiej loży „Perseverance-Esperance” – „Wyttrwałość-Nadzieja” w Besançon (Wielki Wschód Francji) uzyskał 4^o wtajemniczenia; oraz Piotr Adolf Semenenko (1814-1886), przełożony zgromadzenia w latach 1842-1845 i 1873-1876. W 1832 widnieje w spisie członków loży „Perseverance-Esperance”-„Wyttrwałość-Nadzieja”.

Można przyjąć założenie, że tych kilku kapłanów z czasów Wielkiej Emigracji to ostatni przedstawiciele polskiego duchowieństwa katolickiego, którzy związali się (na krócej lub dłużej) z wolnomularstwem, bowiem po odrodzeniu masonerii na początku XX w. aż do dnia dzisiejszego znane i zachowane dokumenty nie odnotowują takiego przypadku.

Wyjątkiem może być Kajetan Wysłouch (1869-1937), specjalista w dziedzinie ubezpieczeń społecznych (współautor ustawy z 1920 o ubezpieczeniu zdrowotnym), który zanim został przyjęty do wolnomularstwa był duchownym. W 1896 uzyskał święcenia kapłańskie i do 1908 należał do zakonu Kapucynów. Został inicjowany w 1932 w warszawskiej loży „Kopernik” (1935-1937 był jej przewodniczącym), z czasem uzyskał najwyższy – 33 – stopień wtajemniczenia i wszedł w skład Rady Najwyższej dla Polski.

Kościół protestancki odnosił się do wolnomularstwa raczej przychylnie i w zasadzie nie widział sprzeczności w tym, by reprezentanci duchowieństwa ewangelickiego uczestniczyli aktywnie w pracach lożowych. Przypomnę, że nie kto inny, ale właśnie pastor presbiteriański James Anderson był autorem wydanej w 1723 Konstytucji – jednego z najważniejszych dokumentów wolnomularskich, będącym podstawową księgą zasad masonskich, obowiązującą z małymi poprawkami do dnia dzisiejszego we wszystkich lożach uznających ideowe zwierzchnictwo Wielkiej Loży Anglii.

Spśród duchownych ewangelickich, aktywnych w polskim wolnomularstwie, o których mamy więcej informacji biograficznych, na uwagę zasługują:

Henryk Deybel von Hammerau (1770-1825) – prezes Konsystorza Ewangelickiego w Warszawie. Wywodził się ze spolszczonej rodziny luteranckiej, przybyłej do Polski najprawdopodobniej za Augusta II Sasa. Był majorem artylerii konnej i architektem, kierował biurem rachunkowości artylerii i inżynierii w Komisji Rządowej Wojny, a w latach 1818-1822 szefem wydziału dyrekcji materiałów. Bardzo aktywnie działał w strukturach wolnomularskich. Był przewodniczącym Loży „Świątynia Stałości” (Warszawa), z jej ramienia deputowanym do Wielkiego Wschodu Polski, członkiem Najwyższej Kapituły, jak też założycielem loży „Doskonałe Milczenie” (Pułtusk) oraz członkiem honorowym loży „Astrea” (Warszawa), „Świątynia Równości” (Lublin), „Świątynia Minerwy”(Warszawa).

Jerzy Tetzner (1774-1841) – do Warszawy przybył w czasie panowania pruskiego po III rozbiorze jako duszpasterz niemieckiej ludności ewangelickiej. W otwartym w 1804 Liceum Warszawskim był wykładowcą religii luteranckiej i języka niemieckiego. Niemieckiego uczył również w domach prywatnych i pensjach, m.in. w pensji prowadzonej przez rodziców Fryderyka Chopina (możliwe, że uczył młodego Fryderyka). W 1813 otrzymał stanowisko rektora Szkoły Parafialnej przy kościele pod wezwaniem Św. Trójcy. W roku 1816 wysunięto jego kandydaturę na stanowisko drugiego pastora warszawskiej parafii, ale otrzymał je dopiero po próbnym kazaniu wygłoszonym po polsku, gdyż miało wątpliwości co do jego wystarczającej znajomości języka polskiego. Był członkiem loży „Świątynia Stałości” (Warszawa) oraz honorowym członkiem loży „Ludzkości” (Płock).



Nagrobek Hieronima Stroynowskiego w wileńskim kościele św. Janów

Kazimierz Ostachiewicz (1883-1952) – ukończył gimnazjum w Wilnie, w latach 1903-1905 student na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego (wydalony po strajku szkolnym 1905). Następnie studiował w Wyższej Szkole Rolniczej w Wiedniu i Wyższej Szkole Handlowej w Lipsku (dyplom 1910). Był pracownikiem bankowym i księgowym w Wilnie, Łodzi i Warszawie. Od jesieni 1919 studiował teologię protestancką w Lozannie (1922 dyplom licencjata teologii). W tym samym roku ordynowany w Warszawie na duchownego kościoła ewangelicko-reformowanego Jednoty Warszawskiej. Pracował w zborach tego kościoła w Żychlinie, Brześciu, Wilnie. Po 1945 w Łodzi, gdzie najpierw był administratorem zboru, a od 1949 superintendentem. Do wolnomularstwa został przyjęty w 1913 do wileńskiej loży

„Litwa” (Wielki Wschód Ludów Rosji), a w październiku 1914 przeszedł do również wileńskiej i również podległej Wielkiemu Wschodowi Ludów Rosji loży „Białoruś”.

Jedynym duchownym w okresie międzywojennym będącym wolnomularzem był Karol Serini (1875-1931) – teolog i pastor Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Urodził się w Tomaszowie Rawskim (dziś Mazowieckim). Po ukończeniu gimnazjum w Częstochowie (1893) rozpoczął studia na uniwersytecie w Dorpacie, na jedynym w ówczesnej Rosji Wydziale Teologii Ewangelickiej. W 1899 ordynowany na duchownego, następnie wikariusz w Pabianicach, Łodzi, Stawiszynie pod Kaliszem i w Zgierzu (1905-1919), gdzie dał się poznać nie tylko jako pastor, ale i społecznik zaangażowany w pracę socjalną i charytatywną. W trakcie posługi w Zgie-

rze ożenił się i doczekał licznego potomstwa (pięciu córek).

W 1920, kiedy na Uniwersytecie Warszawskim utworzono Wydział Teologii Ewangelickiej, powierzono mu organizację i prowadzenie katedry teologii ewangelickiej, którą kierował do 1931. Jako kierownik katedry pracował najpierw na etacie zastępcy profesora, a następnie profesora. Był członkiem Senatu Uniwersytetu Warszawskiego oraz pełnił funkcję przewodniczącego sekcji metafizyki Towarzystwa Filozoficznego. Został inicjowany w 1929 do warszawskiej loży „Wolność Przywrócona”. Jest autorem dwóch publikacji: *Masoneria* oraz nie ukończonej *Symbol w wolnomularstwie*. Do dnia dzisiejszego polscy masoni czerpią z nich duchową i intelektualną inspirację, a *Symbol* jest pierwszą w polskim wolnomularstwie pracą poświęconą temu zagadnieniu.

Tak jak Serini w dwudziestolecie był jedynym pastorem-wolnomularzem, tak Jarosław Kubacki (1971-2025) jest współcześnie (przynajmniej do wiosny 2025) jedynym ujawnionym polskim protestanckim duchownym-masonem.

Jarosław Kubacki, pastor i teolog, pochodził z Łodzi. Studiował na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej i na Uniwersytecie Teologicznym Kościołów Reformowanych w Kampen w Holandii. Pracował jako asystent na wydziale teologicznym Uniwersytetu w Lejdzie. Z czasem porzucił protestantyzm na rzecz bardziej katolickiego podejścia do wiary i związał się z Kościołem Starokatolickim.

Pierwszy kontakt z wolnomularzami (jak sam to opisał w tekście *Chrześcijaнин w Loży* (opublikowanym w nr 58 i 59 z 2014 „Wolnomularza Polskiego”, dostępnym również na portalu <https://wolnomularstwo.pl/>), miał w 1992 roku, kiedy był wikariuszem w warszawskiej parafii ewangelicko-reformowanej. Został inicjowany w 1998 w Holandii i do 2008 związany był najpierw z Wielkim Wschodem

Holandii, a następnie z Le Droit Humain i holenderską Wielką Lożą Masonerii Mieszanej (łoże „Pentagram” i belgijsko-holenderska loża „Emergo”, w której został wybrany Mówcą). W Holandii był pastorem Zjednoczonego Zboru Mennonickiego w Beverwijk koło Amsterdamu oraz kapelanem w domach opieki w pobliżu Hagi, gdzie pełnił posługę duszpasterską z ramienia Stowarzyszenia Vrijzinnigen Nederland (Liberałowie Holandia), skupiającego zwolenników liberalnego chrześcijaństwa oraz religijnych humanistów różnych wyznań i tradycji religijno-światopoglądowych. Zmarł nagle w styczniu 2025 w trakcie misji humanitarnej w Ukrainie, pochowany w Łodzi.

Natomiast jeśli chodzi o kościoły wschodnie (prawosławny i unicki), to najprawdopodobniej ich jedynymi reprezentantami w dotychczasowej historii polskiego wolnomularstwa było dwóch duchownych z wieku XVIII: Michał Sojawnicki (Sesawnitzky), rektor unickiego Seminarium Generalnego we Lwowie, członek loży „Zur Beständigkeit” w Wiedniu oraz Dorotheo Vasmuls (Vasmulo), duchowny prawosławny, kapelan przy poselstwie Rzeczypospolitej w Konstantynopolu, członek warszawskiej loży „Karol pod trzema Hełmami”.

Duchownym masonem innego kościoła chrześcijańskiego – Polskiego Kościoła Narodowego w USA był Gabriel Makowicz. Pomiędzy 1954 a 1967 został członkiem loży „Kościuszko Loża Numer 1085” w Nowym Jorku (Wielka Loża Stanu Nowy Jork). Od 1967 lub wcześniej, do co najmniej 1970 włącznie, piastował w niej godność kapelana.

Warto przypomnieć również o dwóch znanych polskich wolnomularzach związanych z obrządkiem mieszanym Droit Humain, którzy byli duchownymi Liberalnego Kościoła Katolickiego. Jest to kościół reprezentujący chrześcijaństwo przez pryzmat teozofii, a utworzył go w 1916 były

ksiądz anglikański James Ingall Wedgwood (1883-1951). Chodzi o gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza (1893-1964) oraz Władysława Bocheńskiego (1902-1997) (o ich działalności wolnomularskiej pisałem w nr 90 i 92 FMW). Obydwaj zostali wyświęceni na kapłanów w 1926.

Oczywiście nie wiemy, czy wśród współczesnych polskich wolnomularzy z łóż działających w Polsce czy też w innych krajach są duchowni jakichkolwiek kościołów czy związków wyznaniowych. Jest to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Jeśli takowi jednak są, to wiedzą o tym jedynie oni sami oraz ewentualnie bracia lub siostry z ich macierzystych łóż. Postronni mogą się dowiedzieć o tym wyłącznie wtedy, gdy sami się ujawnią, lub gdy po ich śmierci taka informacja zostanie podana do publicznej wiadomości – tak jak się to stało w przypadku pastora Kubackiego. □

Wykorzystano

Klaus Dąbrowski, *Polscy Masoni. 100 niezwykłych postaci*, Warszawa 2024.

Ludwik Hass, *Sekta farmazonii warszawskiej. Pierwsze stulecie wolnomularstwa w Warszawie 1721-1821*, Warszawa 1980; *Wolnomularze Polscy w kraju i na świecie 1821-1999, Słownik biograficzny*, Warszawa 1999; *Wolnomularze polscy w lożach Zachodu (Dwie pierwsze dekady XIX wieku)*, „Ars Regia” nr 13/14 (1998/1999).

Kościół przeciw masonerii (fragmenty zapisu dyskusji telewizyjnej z 28.04.1995), „Ars Regia” nr 15/16/2006.

Jarosław Kubacki, *Wyznania Chrześcijanina i masona*, „Wolnomularz Polski” nr 58/2014; *Chrześcijanin w Łoży*, „Wolnomularz Polski” nr 59/2014.

Artur Jan Kukuła, *Hieronim Stroynowski (1752-1815)*, „Ars Regia” nr 17/2007/2008.

Stanisław Małachowski-Łempicki, *Wykaz polskich łóż wolnomularskich oraz ich członków w latach 1738-1821, poprzedzony zarysem wolnomularstwa polskiego i ustroju Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego*, Kraków 1929, oraz aneks w opracowaniu Ludwika Hassa (pozycja dostępna na stronach Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej).

Paweł Matwiejczuk, *Karol Serini – duszpasterz, profesor, wolnomularz*, „Wolnomularz Polski” nr 56/2013.

Kamil Opalski, *Karol Serini*, „Ars Regia” nr 1/1992.

Norbert Wójtowicz, *Wolnomularstwo a kościół katolicki. Wrogowie, przeciwnicy czy konkurenci*, Krzeszowice 2014; *Ekskomunika za przynależność do wolnomularstwa dawniej i dziś*, „Masoneria XXI” nr 2/2023.

Krzysztof Załęski, *Słownik polskich duchownych należących do łóż wolnomularskich*, „Ars Regia” nr 18 2008/2009.

Uwaga wszystkie teksty z *Ars Regia* są dostępne w sieci na stronie: Baza czasopism Humanistycznych Muzeum Historii Polski <https://bazhum.muzhp.pl/>, a Wolnomularza Polskiego na stronie Domowego Muzeum Wolnomularstwa im. Adama Witolda Wysockiego <https://masonskiemuzeum.pl/>; praca Małachowskiego-Łempickiego wraz z aneksem na stronach Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej – wykaz: <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/4238/edition/7553/content>, aneks <http://www.wbc.poznan.pl/Content/96430/Hass%20uzupe%C5%82nia%20Ma%C5%82achowskiego.pdf>; natomiast teksty Kubackiego oraz Wójtowicza o Ekskomunice dostępne są również na stronie *Masoneria w Polsce* <https://wolnomularstwo.pl/>.

JAN WOLEŃSKI

„JEŚLI BOGA NIE MA, TO WSZYSTKO JEST DOZWOLONE”

Tytułowa fraza jest podsumowaniem następującego fragmentu z „Braci Karamazow” Fiodora Dostojewskiego” (słowa Dymitra (Mitii) Karamazowa, wyjaśniające powiedzenie Iwana Karamazowa, przyrodniego brata Mitii) „Tak, bez Boga i bez życia przyszłego? Więc wypadałoby, że teraz wszystko wolno, że wszystko można robić?”.

Leszek Kołakowski w swojej książce „O Bogu, diable, grzechu i innych zmartwieniach tak zwanej filozofii religii” (wyd. polskie, Znak, Kraków 2010) zgadza się z Dostojewskim i uważa tytułowe zdanie za prawdziwe. Inaczej mówiąc, istnienie Boga jest gwarancją istnienia obowiązków moralnych, tj. czegoś, co sprawia, że nie wszystko wolno. Przyjmę następującą konwencję:

(1) jeśli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone (wszystko wolno).

Kontrapozycja (1) daje stwierdzenie równoważne (1), mianowicie:

(2) nie wszystko jest dozwolone, jeśli Bóg jest,

wyrażające to, że istnienie Boga jest koniecznym warunkiem porządku moralnego, tj. systemu moralnego, w którym istnieją obowiązki.

Na razie poprzestaję na tym komentarzu – dalsze uwagi na temat (1) i (2) znajdują się w dalszej części mojego szkicu.

Kant zaprzeczał, jakoby można było udowodnić istnienie Boga w domenie czystego rozumu (filozof z Królewca krytykował dowody na istnienie Boga, zarówno ontologiczne, jak i kosmologiczne), ale egzystencję Istoty Najwyższej uważał za postulat rozumu praktycznego, wymagany dla uzasadnienia moralności. Tedy, (1) wy-

raża sąd praktyczny, nie teoretyczny. Kołakowski tak rzecz ujmował (j. w., s. 84): „Będę starał się argumentować za następującą, quasi-kartezjańską tezę: sławne powiedzenie Dostojewskiego ‘Jeżeli nie ma Boga, to wszystko wolno’ zachowuje ważność nie tylko jako reguła moralna [...], ale także jako zasada epistemologiczna. Znaczy to, że tylko przy założeniu absolutnego Umysłu prawomocne jest używanie pojęcia „prawda” i przekonanie, że „prawda” może być zasadnie orzekana o naszej wiedzy”.

Możemy potraktować zwrot „zachowuje ważność” jako wskazujący na uniwersalną prawdziwość. A zatem (1) ma walor zarówno w epistemologii jak i etyce teoretycznej. To drugie można rozumieć po kantowsku, tj. że ważność (1) jest pochodną uznania absolutnego (transcendentalnego) Umysłu za źródło obiektywnego porządku moralnego. To pozwala traktować (1) jako zasadę Kanta-Dostojewskiego. Można dodać, że termin „ważność” (*Gültigkeit* po niemiecku) rozpowszechnił się w filozofii neokantowskiej jako wyrażający podstawową kategorię epistemologiczną i zastępującą prawdziwość.

Zważywszy wcześniejsze, wyraźnie ateistyczne poglądy Kołakowskiego, jego akceptacja (1) jest niespodzianką. Wielu

komentatorów uważa, że mamy tutaj do czynienia ze zwrotem tego filozofia ku religii. Niewątpliwie Kołakowski zmienił swój stosunek do religii, dokładniej do chrześcijaństwa, ze zdecydowanie negatywnego na pozytywny. Uznał, że cywilizacja europejska, którą uważał za najważniejszą w dziejach świata, jest organicznie związana z chrześcijaństwem, a jeśli tak, to nie da się pojąć naszego (tj. właściwego) porządku moralnego bez ugruntowania go w religii chrześcijańskiej.

Kołakowski nie stał się jednak konwertytą w sensie akceptacji jakiegokolwiek denominacji religijnej. Pamiętam jego pogrzeb w Warszawie w 2009 r. Trumna była wystawiona w kościele, stamtąd zabrana, ale orszak pogrzebowy nie był prowadzony przez duchownego i samo złożenie do grobu obyło się bez rytuału religijnego. Wspominam o tym dlatego, że próby zawłaszczenia Kołakowskiego jako „nawróconego” chrześcijanina uważam za nieuprawnione. Jego późniejsze poglądy w sprawie religii czy istnienia Boga można interpretować w duchu deizmu lub jako metaforę istnienia uniwersalnego porządku prawno-naturalnego, ale szersza dyskusja tej kwestii wykracza poza ramy niniejszego tekstu.

Wracam do (1) i (2). Ponieważ oba te stwierdzenia są logicznie równoważne, wyrażają tę samą zasadę. Z powodów historycznych należy mówić o (1), aczkolwiek (2) ma bardziej intuicyjny sens z pragmatycznego punktu widzenia. Przypuśćmy, że (1) jest akceptowana przez osobę X o ateistyczno-anarchistycznym poglądzie na moralność, a więc negującą istnienie Boga, ale uznającą, że wszystko jest dozwolone. X uznaje (1) ponieważ akceptuje prawdziwość poprzednika („Boga nie ma”) i prawdziwość następnika („wszystko jest dozwolone”). Wszelako X może powiedzieć, że akceptuje (1) również wtedy,

gdy ktoś uznaje fałszywość poprzednika tej implikacji, tj. twierdzi, że Bóg istnieje, bo cała rozważana implikacja jest wtedy prawdziwa.

Może więc lepiej przyjąć mocniejszą wersją zasady Kanta-Dostojewskiego, mianowicie w postaci nie implikacji, ale równoważności. Wtedy (1) i (2) przechodzą odpowiednio w:

(3) wszystko wolno wtedy i tylko wtedy, gdy Boga nie ma,

(4) nie wszystko wolno wtedy i tylko, gdy Bóg jest.

Jak wiadomo z logiki elementarnej, równoważność jest prawdziwa wtedy, gdy oba jej człony są prawdziwe lub fałszywe. Pomijając anarchizm aksjologiczny, (3) i (4) zapewne lepiej wyrażają intencje Kanta i Dostojewskiego, gdyż istnienie Boga jest nie tylko koniecznym, ale również wystarczającym warunkiem porządku moralnego.

Pozostaje jeszcze kwestia tego, że porządek aksjologiczny ma nie tylko istnieć, ale również być merytorycznie właściwy, ale to w tym momencie pomijam, bo w tym fragmencie moich uwag chodzi wyłącznie o kwestie formalno-logiczne.

Co jednak znaczy, że istnieje porządek moralny? Zgodnie z wcześniejszą uwagą, jest tak wtedy, gdy są obowiązki moralne. Trzeba zwrócić uwagę na takie wypowiedzi jak „wszystko wolno”, „nie wszystko wolno”, „coś jest moralnie nakazane” czy „coś jest moralnie zakazane”. Są to zdania deontyczne, tj. stwierdzenia o formie

(5) a jest D ,

gdzie a odnosi się do czynu ludzkiego, natomiast D jest jednym z predykatów deontycznych, tj. wyrażanych słowami „dozwolone”, „nakazane” i „zakazane”. Przykładami zdań deontycznych są np. takie jak: „chodzenie do kina jest dozwolone”, „pomaganie ubogim jest naka-

zane” i „krzywdzenie bliźnich jest zakazane”. Mamy takie zależności:

(6) a jest dozwolone wtedy i tylko wtedy, gdy a nie jest zakazane;

(7) a jest nakazane wtedy i tylko wtedy, gdy $\neg a$ jest zakazane;

(8) dla każdego x , x jest zakazane lub nakazane lub indyferentne (a jest dozwolone i $\neg a$ jest dozwolone).

Powstaje pytanie, jak wyrazić porządek moralny? Otóż, znajduje on swój wyraz w kodeksach etycznych, a więc katalogach (systemach normatywnych) wskazujących, co nakazane i zakazane, np. w Dekalogu czy Kodeksie Etyki Lekarskiej. To, co tutaj jest szczególnie ważne, to fakt, że sfera dozwolenia jest pochodna wobec sfery nakazu i zakazu (sumę nakazów i zakazów można uznać za sferę obowiązku).

Mamy teraz narzędzia dla przeformułowania (1). Weźmy wersję (4) i tak ją wyrażmy:

(9) istnieją obowiązki moralne wtedy i tylko wtedy, gdy Bóg istnieje.

Przy tym sformułowaniu od razu mamy argument do zakwestionowania tezy Kanta-Dostojewskiego. (9) łączy zdanie deontyczne („istnieją obowiązki moralne”) z niedeontycznym („istnieje Bóg”). Można powiedzieć nawet więcej: zdanie „istnieją obowiązki moralne” jest wywodzone ze zdania „istnieje Bóg” i na odwrót, zdanie „istnieje Bóg” jest wywodzone ze zdania „istnieją obowiązki moralne”. Zgodnie z tezą Hume’a, wyrażoną w XVIII w. (korzystam z wersji współczesnej), zdania deontyczne nie wynikają z niedeontycznych i na odwrót. Po to, aby wykazać, że istnienie Boga implikuje istnienie kodeksu moralnego, trzeba coś dodać, np. przesłankę „Bóg ustanowił kodeks moralny, objawił człowiekowi, a obowiązkiem ludzi jest przestrzeganie tego ustanowienia”. Dopiero wtedy teza Kanta-Dostojewskiego może być uznana za uzasadnioną przez przesłan-

kę uzupełniającą istnienie Boga przez dodanie, że Bóg ustanowił porządek moralny, objawił ten system normatywny (Mojżeszowi na górze Synaj przez wręczenie mu tablic z dziesięcioma przykazaniami), a wszyscy ludzie mają obowiązek przestrzegania tych zasad. To uzasadnienie jest formalne, natomiast materialne wymaga uznania prawdziwości przesłanki.

Teza (1) (podobnie jak jej rozmaite warianty) może być również traktowana jako twierdzenie na temat pochodzenia moralności. Ateista(ka) nie ma żadnych powodów, aby akceptować takie, tj. teistycznie, wyjaśnienie. Po pierwsze, taka eksplanacja zakłada, że miał miejsce fakt polegający na objawieniu ludzkości kodeksu moralnego przez Boga. Jasne, że światopogląd ateistyczny wyklucza zaistnienie takiego zdarzenia, jako nie mieszczącego się w ramach porządku naturalnego, tj. jedyne akceptowanego z punktu widzenia ateizmu. Po drugie, można powiedzieć (tak można rozumieć niektóre uwagi Kołakowskiego), że tylko religia uprawomocnia moralność. Wtedy (1) przybiera postać

(10) jeśli nie ma religii, to wszystko wolno.

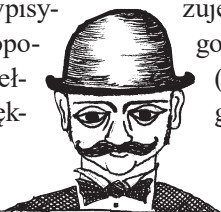
To ostatnie stwierdzenie jest jednak niezależne od uznania egzystencji Boga, Osoba niewierząca może uznać (10) za wyjaśnienie genezy moralności z uwagi na socjalizującą rolę wierzeń religijnych, np. bardziej efektywną niż jakakolwiek inna. Jeszcze inna droga polega na argumentacji, że zarówno moralność, jak i religia są rezultatem jakichś czynników kształtujących społeczne życie ludzi. To, co wiadomo z antropologii kultury, to tyle, że religia (razem z moralnością, prawem i obyczajami) należy do systemu kontroli społecznej, co nie jest równoważne stwierdzeniu, że *sacrum* stanowi ostateczny fundament więzi społecznej.

I na koniec, kilka uwag na temat przypadku szczególnego. Marek Jędraszewski, metropolita krakowski w latach 2016–2024, przekonywał w jednym z kazań (w 2019 r.), że jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno. Człowiek jest w stanie usprawiedliwić wtedy największą zbrodnię”. To przesłanie można zakodować w postaci tezy

(11) Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno i człowiek jest w stanie usprawiedliwić największą zbrodnię.

Z powodów, które wyżej wyjaśniłem, jest to zwyczajny paralogizm, gdyż wywodzi zdanie deontyczno-faktualne („wszystko wolno i człowiek jest w stanie usprawiedliwić największą zbrodnię”) ze zdania niedeontycznego („Boga nie ma”). Jędraszewski posługuje się typowym chwytem retorycznym polegającym na przypisywaniu osobom wyznającym światopogląd ateistyczny tendencji do popełniania i usprawiedliwiania najwięk-

szych zbrodni. Wystarczy przypomnieć, że Kościół katolicki (podobnie jak inne religie) nie stronił od rozmaitych mało chwalebnych czynów (w tym pozbawiania życia niewinnych ludzi) i przedstawiał te działania za w pełni zasadne.. Na to zwykle pada odpowiedź, że ponieważ mamy święty Kościół, ale grzesznych ludzi, zbrodnie nie mogą być przypisywane instytucji, ale jej „złym” elementom, niezrozumiejącym istoty ewangelicznego przesłania moralnego. Jędraszewski nie rozumie (lub udaje, że nie rozumie), że dokładnie tak samo może powiedzieć ateista(ka) o zbrodniach popełnianych „po świecku”. Tego rodzaju spory prowadzą do nikąd i przesłaniają problem zasadniczy, mianowicie konteksty zbrodniczych działań, które bywają zarówno religijne jak i areligijne. Przykład ten wskazuje, że dla uzasadnienia właściwego porządku moralnego trzeba więcej (i to znacznie) niż apel do światopoglądu. □



SANEJ DODI?

OFIARNOŚĆ

Podczas jednego z przeglądów gwardii Napoleon, przechodząc obok kapitana stojącego na czele swojej kompanii, dostrzegł, że jego rabaty (barwne wyłogi przy mundurze wojskowym) są poplamione.

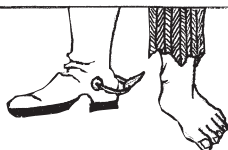
– Kapitanie – powiedział – czy wam nie wstyd tak wyglądać przed frontem? Patrz tylko, do czego tve piersi podobne!

Na co kapitan rozpiął mundur i pokazując liczne blizny, odrzekł:

– Alem ich nie oszczędzał!

– Cesarz cofnął się, zdjął kapelusz i rzekł:

– Przepraszam, pułkowniku.



POSŁOWIE

do wywiadu-rozmowy Jana Grosfelda ze Sławomirem Jackiem Żurkiem, wydanej w formie książkowej pt. *Pałac płonie* przez Wydawnictwo Znak, Kraków 2024 /autorski skrót ostatecznie niewydrukowanego posłowania, napisanego przez prof. Woleńskiego/.

Jan Grosfeld jest żydem nawróconym na katolicyzm. To nie jest nic specjalnego, bo takich osób były miliony w historii, ale ten przypadek jest o tyle szczególny, że dotyczy osoby świadomie łączącej judaizm i chrześcijaństwo, denominacje często uważane za wykluczające się przez ich przedstawicieli. Grosfeld uważa swój wybór za właściwy, ponieważ unikający skrajności obu wyznań, natomiast łączący (a przynajmniej mogący to uczynić) ich wartości. I o tym jest rozmowa prezentowana w *Pałacu płonącym*.

Jan Grosfeld identyfikuje wartość religii z otrzymaniem łaski od Boga. Odnoszę wrażenie, że Grosfeld traktuje niewierzących jako tych, którzy nie zostali wybrani. Rozumiem tę perspektywę, ale powstaje jednak pytanie, dlaczego niewierzący nie są wybrani, tj. dlaczego jedni otrzymują rzeczoną łaskę, a inni nie. Możliwe są dwie odpowiedzi (obie są znane filozofom i teologom): jedna, że nie zasłużyliśmy (sam jestem niewierzący i na dodatek mam żydowskie korzenie), a druga, że Bóg tak postanowił, zupełnie niezależnie od naszych uczynków. Pierwsza rodzi kolejne pytania, np. takie, że nie jest jasne, kto zasługuje. Rudolf Höss i Hans Frank nawrócili się, jak rozumiem, w wyniku obdarzenia ich łaską wiary, ale nie wiadomo, czy to warunek już wystarczający, czy tylko konieczny, dla ich dalszych losów w perspektywie ostatecznej.

Problem jest dość kłopotliwy dla osoby wierzącej, ponieważ zdeklarowany ateista przestrzegający czysto moralnych postulatów Dekalogu jest *a priori* w gorszej sytu-

acji, niż zbrodniarz pogodzony z Bogiem tuż przed śmiercią. Drugie wyjaśnienie jest prostsze, ale wymaga przyjęcia do wiadomości, że to Boża wola zdecydowała o naszej niewierze. Jak to zgrabnie ujął Stanisław Jerzy Lec, niewierzący Polak, ale żydowskiego pochodzenia, pisząc dosadnie: „A może Bóg wybrał mnie na ateistę?”.

Szanując przekonanie o konstytutywnej roli łaski w nabywaniu przekonań religijnych, sugerowałbym, aby jednak traktować niewierzących jako całkowicie (lub przynajmniej w dużej mierze) świadomych swoich wyborów. Podobnie, to zrozumiałe, że wierzący, zarówno żyd jak i chrześcijanin, może uznawać, że Zagłada ma wymiar transcendentalny. Wszak niektórzy rabini uważali, że była to kara za złamanie przyrzeczenia z Najwyższym. Niemniej jednak uznanie Szoah za wydarzenie czysto doczesne ma za sobą poważne racje i jest akceptowane nie tylko przez ateistów. Powiedziałbym, że odwołanie się do transcendencji utrudnia wyjaśnienie Zagłady.

Nie jest moją sprawą rozważanie, czy połączenie judaizmu z chrześcijaństwem (w szczególności, z katolicyzmem) jest możliwe. Grosfeld rozważając interpretacje Talmudu optuje za moralną szkołą Hillela, a nie za prawniczą szkołą Szammaja, ale nie jestem pewien, czy to wystarcza, nawet po uzupełnieniu przez przesłanie o byciu wspólnymi braćmi w wierze. Mamy kilka odłamów judaizmu: ortodoksyjny, konserwatywny i reformowany. Który z nich ma być wykorzystany dla ugruntowania judeochrześcijaństwa à la Grosfeld? Problem w tym, że ortodoksi i konserwatyści nie

są zainteresowani jakkolwiek syntezą ich wiary z chrześcijaństwem. W konsekwencji pozostaje tylko judaizm reformowany.

Ale i z punktu widzenia katolicyzmu sprawa nie jest całkiem jednoznaczna, ponieważ – nawet jeśli uznaje się potrzebę dialogu religijnego pomiędzy chrześcijanami a wyznawcami judaizmu – to wcale nie znaczy, że dopuszcza się tu możliwość judeochrześcijaństwa. Gramatycznym wyrazem tej kwestii jest wyrażenie „Polska Rada Chrześcijan i Żydów”. Dopóki jest to nazwa pewnej instytucji, nie ma powodów, aby nie pisać jej członów z dużej litery. Wszelako często powiada się, że ta Rada patronuje dialogowi chrześcijan (praktycznie, katolików) z żydami.

To jednak nie jest całkowicie spójne, ponieważ „chrześcijanin” oznacza wyznanie religijne, a „Żyd” – narodowość i (zdaniem niektórych) wyznawcę judaizmu. Powinno się zatem pisać „dialog chrześcijan z żydami (wyznawcami judaizmu)”. Jako świecki Żyd nie mam nic przeciwko dialogowi z chrześcijanami i nawet w nim uczestniczę, ale muszę zaprotestować przeciwko utożsamianiu tego co etniczne z tym co religijne.

Problem nie tylko w gramatyce i określeniu dialogu. Po stronie Żydów też są różnice w traktowaniu zakresu słowa „Żyd”. Ortodoksi uważają, że np. chrzest likwiduje żydowskość; ultraortodoksi, że czyni to nawet chrzest jakiegoś przodka, zwłaszcza płci żeńskiej; zdania konserwatystów są podzielone, ale większość uważa, że trzeba mieć matkę Żydówkę; natomiast reformowani przyjmują, że wystarczy konwersja na ich wersję judaizmu. Łatwo tu dostrzec podobieństwo z ideą Polaka-katolika. Jest też odwrotny przypadek. Jedna z moich doktorantek oświadczyła, że jest ateistką żydowską. Gdy zapytałem, co to znaczy, odpowiedziała, że ważne w jakiego Boga się nie wierzy.

Żydzi mają też bardzo różny stosunek do chrześcijan. Niewątpliwie świeccy Żydzi

są względnie najbardziej przychylni „młodszym braciom w wierze”; co wcale nie znaczy, że nie pojawiają się wśród nich postawy antychrześcijańskie. Tak to już jest, że np. polsko-żydowskie dyskusje o kwestiach historycznych, chociażby o dyskryminacji Żydów w życiu społecznym, wręcz nasuwają pytanie, czy ma to jakiś, niekoniecznie wyraźny, podtekst religijny.

To jest niewątpliwie jakaś osobliwość pojęciowa, ponieważ prześladowania Polaków przez Niemców czy Rosjan są wyłącznie wyjaśniane przez „świeckie” okoliczności polityczne. Żydzi mają negatywny stosunek do symboli chrześcijańskich. Ojciec Joachim Badeni OP w swojej *Autobiografii* opowiada, jak to w czasach szkolnych, razem z kilkoma innymi chłopakami, wrzucili żydowską dziewczynkę do wanny z wodą imitując jej chrzest. Opisując jej wielkie przerażenie, dodał, że śmiechu było, co niemiara.

Ofiara tej niewyszukanej krotchwili najwyraźniej bała się nawet chrztu dla żartu, bo tak została wychowana, mianowicie w przeświadczeniu, że chrzest zagraża jej tożsamości. Jest rzeczą oczywistą, że dziecko żydowskie, które zostało przyjęte do klasztoru w czasie wojny, musiało być ochrzczone i nauczone stosownych rytów religijnych, gdyż inaczej trudno byłoby je uratować. Po wojnie organizacje żydowskie chciały „odzyskać” uratowane dzieci, ale zakony odmawiały tego argumentując, że chrzest jest nieodwracalny. Obie strony miały swoje racje, mocne, ale na pewno niewspółmierne.

Żydzi, zwłaszcza ortodoksyjni, mają raczej negatywny stosunek do krzyża jako symbolu religijnego. Oto inny przykład. Brałem udział w dyskusji na tematy żydowskie, odbytej w jednym z krakowskich kościołów. Stół dla dyskutantów ustawiono pod krzyżem wiszącym na ścianie. Zaproszony rabin odmówił zajęcia miejsca przy tym stole twierdząc, że nie może siedzieć pod głównym katolickim symbolem. Trze-

ba było przemeblować bardzo obszerne pomieszczenie.

Nie jestem na tyle biegły w judaizmie i prawdę mówiąc szkoda mi czasu, aby sprawdzać, czy postawy Żydów (żydów, jeśli ktoś woli) wobec krzyża mają uzasadnienie teologiczne, czy też są wyrazem, jak to niekiedy się ujmuje, ich panicznego strachu przed znakiem, który często towarzyszył ich niedolom. Bywa, że Żydzi są zdumieni niektórymi zachowaniami chrześcijan. Raz zwiedzałem Bazylikę Grobu Pańskiego w Jerozolimie razem ze swoim przyjacielem, świeckim Żydem. Wielce się zdumiał, gdy zobaczył kobietą całującą posadzkę w miejscu symbolicznym dla chrześcijan. Nie mogłem mu wytłumaczyć, że osoba ta oddaje cześć Bogu jej religii.

Grosfeld słusznie zauważa, że prozelityzm katolików wobec żydów jest już kwestią przeszłości (choć nigdy nie wiadomo, czy historia nie wróci), a to dzięki deklaracji *Nostra aetate* i działalności Jana Pawła II. Niemniej jednak ciągle pojawiają się punkty zapalne w stosunkach polsko-żydowskich (ograniczam się do tej perspektywy), w których niepoślednią rolę odgrywają działania katolickie.

Weźmy pod uwagę kwestię żwirowiska w Oświęcimiu. Dla mnie to rzecz ważna, bo zdecydowała o przejściu od tylko akceptacji własnego żydostwa do aktywnego zaangażowania się w sprawy żydowskie. Grosfeld pisze o żwirowisku, ale moim zdaniem w sposób zbyt uproszczony.

W 1998 r. przebywałem w USA. Jednego dnia przeczytałem w *New York Times* list do redakcji, w którym autor twierdził, że przecież nikomu nie powinno przeszkadzać, że kilka karmelitanek modli się za zamordowanych w Auschwitz. Byłem całkowicie przekonany do tego stanowiska. Powiedzialem o tym swojemu znajomemu Żydowi. Zauważył, że sprawa nie jest tak prosta, ponieważ obóz w Auschwitz jest uznany za cmentarz żydowski, a – zgodnie z judaizmem – nie może być symboli reli-

gijnych w takich miejscach. Potwierdził to Ben Gold, wielce szanowany rabin, związany z uniwersytetem harwardzkim, którego zapytałem o zdanie w rzeczonyj sprawie.

Po powrocie do Polski pojechałem na oświęcimskie żwirowisko i to, co tam zobaczyłem, było przerażające; przede wszystkim pod względem rozmiarów agresywnego antysemityzmu. Może najbardziej dojmujący był zwrot „żyjonistyczna łzeczka” (pisany przez runiczny odpowiednik S, co było zachętą do rozumienia liter Ł jako SS), mający oznaczać żydowską propagandę w sprawie Karmelu i żwirowiska, znajdujący się w jednej z ulotek rozdawanych w tym odrażającym miejscu. Pomysł godny Juliusa Streichera i wydawanej przez niego gazety *Der Stürmer*, specjalnie przeznaczonej dla rozpowszechniania antysemityzmu.

Jak wiadomo, siostry karmelitanek wywodziły się z Karmelu (zamieszkały tam w 1984 r.) na rozkaz Jana Pawła II, a krzyże zostały przeniesione do klasztoru O.O. Franciszkanów w Harmęży; za wyjątkiem tzw. papieskiego, który pozostał na żwirowisku, ale spory o jego obecność powracają od czasu do czasu.

Grosfeld jest świadom wyjątkowego antysemityzmu obecnego na żwirowisku, ale łączy to z Kazimierzem Świtonem i jego pomocnikami, natomiast rozwiązanie sporu kojarzy z postawą Jana Pawła II i Episkopatu Polski.

To pierwsze jest bezsporne, ale drugie nie bardzo. Faktycznie, w Genewie w końcu lat 1980-ych osiągnięto porozumienie w sprawie likwidacji Karmelu w trakcie rozmów przedstawicieli Episkopatu Polski z delegacją Żydów. Ks. Stanisław Musiał, który uczestniczył w tych negocjacjach, opowiadał mi, że strona polska była początkowo bardzo niechętna takiemu rozwiązaniu. Dla karmelitanek zbudowano nowy budynek, gotowy w 1993 r., ale nie wszystkie zdecydowały się przenieść do niego.

Opór był popierany przez niektórych hierarchów kościelnych, którzy wręcz sugerowali, że polecenie papieskie wymaga czasu dla jego realizacji. Kard. Glemp, prymas Polski, twierdził nawet, że żądanie opuszczenia Karmelu przez siostry zakonne obraża uczucia Polaków. Wiele wskazuje na to, że krzyż papieski (chodzi o krzyż, pod którym Jan Paweł II odprawił mszę w Oświęcimiu w 1979 r.), spoczywający w jakimś magazynie, został postawiony w celu uruchomienia akcji pod wezwaniem „Brońcie Krzyża”, tj. słowami Jana Pawła II, ale wypowiedzianymi przy zupełnie innej okazji. W jej ramach postawiono około 200 krzyży, przy czym na niektórych z nich były specjalne tabliczki z informacją, kto jest sponsorem danego krzyża, a także wersy o wyraźnie antysemitycznych treściach.

Gdy około 2000 r. byłem w Harmęży na dyskusji o sprawach polsko-żydowskich, krzyże stały w zakonnym ogrodzie wraz z napisami je zdobiącymi. Nie wiem, jak jest teraz, ale przypuszczam, że bez specjalnej zmiany. Nadto, siostry karmelitanek wydzierżawiły teren, na którym mieścił się klasztor, Stowarzyszeniu Ofiar Wojny, co dodatkowo utrudniało realizację ugody genewskiej, ponieważ cały czas toczył się spór o to, czy Karmel znajduje się na terenie byłego obozu, czy poza nim.

Tak więc sprawa żywirowska ma wiele aspektów i trudno powiedzieć, że strona kościelna – w tym Episkopat Polski – zachowała się zgodnie z poczynionymi obietnicami w trakcie genewskich negocjacji; a nawet więcej, że ich nie torpedowała.

Moje doświadczenie dotyczące antysemityzmu z czasów szkolnych i uniwersyteckich jest podobne jak Grosfelda. Nie stykałem się z tym zjawiskiem, znałem je ze słyszenia i relacji o nazizmie. W moim liceum mało mówiono o antysemityzmie w międzywojennej Polsce. Raz w szkole na przerwie słyszałem czyjś żal, że Hitler nie zdołał wykończyć wszystkich Żydów, ale jakoś nikt na to nie zareagował. Podobny

pogląd sformułował kolega w czasie ćwiczeń z teorii państwa i prawa. Prowadzący zajęcia zagroził słowami: „Jeśli jeszcze raz zajęcia zagrożą, usunę pana z grupy”.

Wszystko zmieniło się w 1968 r., gdy okazało się, że polski antysemityzm ma się całkiem dobrze; aczkolwiek, by jeszcze raz powtórzyć, w Krakowie rzecz wyglądała inaczej niż w Warszawie. U „nas” uważano, że ma miejsce partyjna rozgrywka o władzę pomiędzy „chamami” a „Żydami”, by użyć kontrastu spopularyzowanego przez książkę Witolda Jedlickiego, natomiast w stolicy społeczna akceptacja hasła „Syjoniści do Syjamu”, jak głosił napis na transparencie trzymanym w czasie przemówienia Gomułki w Sali Kongresowej (19 III 1968), była znacznie większa.

Przyznam, że z niejakim zdziwieniem śledziłem dyskusję po artykule Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto” i wezwanie arcybiskupa Michalika: „Niech Polak głosuje na Polaka, Żyd na Żyda”. Dopiero sprawa żywirowska, potem Jedwabnego, i rozmaite dalsze sceny z naszego politycznego podwórka unaocniły mi, że „antysemityzm bez Żydów” (Grosfeld używa tego zgrabnego powiedzenia) jest możliwy.

Identyfikacja generatorów trwałości tych postaw jest rzeczą ważną. Grosfeld poświęca szereg uwag tej kwestii. Ma rację, że antysemityzm ma korzenie religijne, nie tylko katolickie, i podaje instruktywny przykład Marcina Lutera. Też prawda, że niechęć do Żydów występuje pod każdą szerokością geograficzną, a nie tylko w Polsce. Grosfeld słusznie też zauważa, że nie ma symetrii pomiędzy antypolonizmem i antysemityzmem, ponieważ są to zgoła odmienne rodzaje niechęci.

Odnoszę jednak wrażenie, że Grosfeld trochę usprawiedliwia polski antysemityzm. Ot, weźmy obraz w sandomierskiej katedrze, przedstawiający mord rytualny. Byłem w tym miejscu i moje zdumienie wzbudziło nie to, że obraz ten wisiał na katedralnej ścianie, ale gotowość przewodników do wy-

jaśnienia, że przedstawia fakty. Wtedy zrozumiałem, że opór lokalnego biskupa nie tylko przed zdjęciem obrazu, ale nawet przed umieszczeniem tabliczki wyjaśniającej, że malowidło propaguje mistyfikację, nie jest przypadkowy. Jednak, wbrew Grosfeldowi, tabliczka nie rozwiązuje problemu.

Dalej: to prawda, że Luter pisał straszne rzeczy o Żydach, ale to nie protestanci, ale katolicy używali inkwizycji do represjonowania Żydów. Być może Luter robiłby to samo, gdyby żył wcześniej i miał po temu środki, ale to tylko kontrfaktyczny domysł. Jakoś nie pociesza mnie to, że antysemita są nie tylko w Polsce, ale również w USA. Libanie, Chinach, Francji czy Rosji. Dla mnie ważne jest to, że są w Polsce i np. to, że jeden z młodych polityków w moim kraju postuluje, aby Polska była bez Żydów, oraz traktuje to wezwanie jako przejaw wolnościowego konserwatyzmu.

Nie wiem skąd teza, że antysemityzm o. Kolbego nie dotyczył „być może [...] wszystkich Żydów, tylko tych zlaicyzowanych”; i chyba nie ma większego sensu dociekanie, czy oddałby życie za Żyda. Było, jak było, ale może lepszym przykładem byłby Jan Mosdorf, przedwojenny działacz Młodzieży Wszechpolskiej, zdeklarowany antysemita, który, wedle niektórych przekazów (są i inne, ale mniej wyraźne), pomagał Żydom w Auschwitz i za to został rozstrzelany przez Niemców.

Zofia Kosssak-Szczucka jest słusznie wspomniana w *Palac płonie* jako chwalebny przykład antysemityki niosącej pomoc Żydom w czasie wojny w imię chrześcijańskiej miłości bliźniego. Jak wiadomo, nigdy nie wyrzekła się swojego radykalnego antysemityzmu. Jej sytuacja, podobnie jak wspomnianego Mosdorfa (o ile prawdą są zeznania na jego korzyść) była ekstremalna, co pokazuje, że można zawiesić lub nawet zmienić przekonania antysemickie w imię wyższych racji.

Taka narracja nie ma jednak zastosowania wobec tego, co miało miejsce (celowo

pomijam częste wykorzystywanie spraw żydowskich w codziennej polityce) na oświęcimskim zwirowisku, jest stale obecne w mediach o. Rydzka (ciekawe, to nazwisko nie pada w *Palac płonie*), czy w tysiącach wpisów w Internecie. Twierdzę, że polski katolicyzm jest nadal bardzo żyznym podglebiem dla niechęci sporej części społeczeństwa polskiego do Żydów. Jeden z polskich hierarchów kościelnych miał powiedzieć przed wojną: „Katolik nie może nienawidzić nikogo, nawet Żydów”. To „nawet” wydaje się kluczem do zrozumienia teraźniejszego antysemityzmu nad Wisłą.

Powyżej znalazło się sporo uwag krytycznych o treści *Płonącego Palacu*. To wcale nie znaczy, że moja ocena tej książki jest negatywna. Grosfeld przytoczył cały szereg faktów i zaproponował ich interpretacje, umożliwiające lepsze zrozumienie problemów związanych z aktualnymi stosunkami katolicko-żydowskimi. Jako człowiek niewierzący wolałbym napisać „polsko-żydowskimi”, ale rozumiem, że te drugie nie mogą być rozważane bez pierwszych. *Płonący Palac* to znakomicie dokumentuje. Jest to też dokumentacja osobistej postawy autora, który w pewnym momencie swojego życia podjął bardzo trudną decyzję o moralnej syntezie dwóch rzeczy w byciu Polakiem, mianowicie bycia katolikiem i bycia Żydem, atrybutów, które często są uważane za wykluczające się. I to jest niewątpliwa wartość dialogu Sławomira Jacka Żurka z Janem Grosfeldem. □

Jan Woleński

PS. Sławomir J. Żurek poprosił mnie od napisania posłowie do swej rozmowy z Grosfeldem. Zgodziłem się i przesłałem tekst w przewidzianym terminie. Po jakimś czasie dostałem wiadomość, że koncepcja książki została zmieniona i żadnego posłowie nie będzie. Niniejsza recenzja jest skróconą wersją rzeczowego posłowie.

JÓZEF KABAJ

ROJENIA A WIERZENIA

Różnie z tym bywa. Śnią się nam różne rzeczy. Całkiem nedorzeczne również. Sennik egipski np. podaje, że kupa we śnie zwiastuje wzbogacenie się. Ale znalezienie pieniędzy już niekoniecznie. Z doświadczenia wiemy, że to drugie bardzo rzadko się trafia.

Zdarza się jednak – i to wcale nie tak rzadko – że się przejmujemy takimi „zwiastunami”. Szczególnie jeśli pojawiają się w sytuacji granicznej. Powstały nawet książki o tych zjawach (por. Raymond Moody, *Życie po życiu*). Wiele ludzi to przerabiało i poświadcza. Jednak nie wszyscy z nich mają świadomość, że była to sytuacja awaryjna.

Po pierwsze niecodzienna. Nieczęsto przecież przeżywa się własną śmierć. Jesteśmy tym faktem tak głęboko przejęci, że oto powróciliśmy do grona żywych, iż wtedy uchodzi naszej uwadze to, że byliśmy w danej chwili ciężko uszkodzeni; czy to przez śmiertelną chorobę, z której nas lekarze wykaskali wkładając wiele wysiłku, a nieraz i poświęcenia, czy to przez wypadek lub zatrucie.

Skłonność do wyolbrzymiania tego zjawiska przeżycia własnej śmierci oraz towarzyszących temu przeżyciu zjaw mają szczególnie te osoby, których organizmy – zwłaszcza

mózgi – były znacznie uszkodzone lub nadwerżone przez śmiertelną chorobę. Tłumaczy to doznawanie przez chorego najpierw ogromnego cierpienia, kiedy ból staje się nie do zniesienia, następnie doświadczanie niewyobrażalnie przykrych koszmarów-majaczeń, będących skutkiem niezdolności mózgu do poradzenia sobie z zagrożeniem i zwiastujących nadchodzące jego unicestwienie, a w końcu – jeżeli interwencja medyczna czy inna ratunkowa (jak w przypadku dajmy na to topielców) przynosi ożywiający rezultaty – przejaśnienie, gdy mózg



Wizerunek Buddy

odzyskuje zdolność panowania nad sytuacją. To ostatnie zjawisko czy wrażenie bywa nazywane zwykle „światłem w tunelu”, lub spotkaniem z Dobrem.

Nic w tym dziwnego, a tym bardziej nadprzyrodzonego, że po krytycznym zatrzymaniu istotnych funkcji mózgu, po owym chaosie koszmarnych majaceń, następuje przebudzenie i przejaśnienie. A że z nawyku setek tysięcy, może nawet milionów lat ewolucji, myślenie racjonalne nie jest czynnością odruchową, toteż jako pierwsze nasuwają się nam skojarzenia udziwniające naszą sytuację. Podobnie jak w przypadku gromu znaczącego jakoby gniew bóstwa. Nawet jeśli uderza on w szczyt wieży kościelnej, najczęściej mającej formę krzyża.

Tylko niewielki stosunkowo odsetek ludzi racjonalnie myślących uświadamia sobie, że gdy mowa o śmierci klinicznej i „powrocie” do życia (w sumie tej śmierci przecież nie było, bo gdyby była – nie byłoby z czego powracać; wyjąwszy unikalny, lub raczej legendarny przypadek „zmartwychwstania”), to mózg był bardzo bliski agonii, a zatem o wiele słabszy niż normalnie, nie za bardzo „oświecony”. Chyba że myślimy wówczas na opak i mroczne widziadła bierzemy za objawienia „czegoś więcej”.

Ogólnie biorąc oświecenia, a w szczególności objawienia, zdarzają się i niekiedy przyciągają uwagę wielu ludzi; wręcz pociągają. Jednym ze znamienitych przykładów jest „przebudzenie” niejakiego



Portret Mahometa

Gautamy (Siddharta Gautama, przełom VI na V w. pne, zwanego też Siakjamuni Budda), który uczył nirwany, czyli osiągnięcia błęgiego spokoju głównie poprzez opanowanie emocji. Grube miliony Hindusów i innych Dalekowschodnich „poszły” jego „ośmioraką ścieżką” – w sumie coś około miliarda – i mają co mają. Podobnego objawienia zaznał bliżej nas Mahomet i pociągnął za sobą wojowników na wschód od Mekki tudzież na zachód. Też grube miliony. Także po dobrej woli, gdyż wierni nie płacili podatku.

A my? My mieliśmy królów i królowe, mieliśmy i mamy swoich imamów. Nade wszystko zaś objawienia: Chrystusa Króla i Pana, Maryję Królową Polski. Dobrowolnie... □

Jan Kochanowski i Wacław Potocki nigdy się nie spotkali. Czas tak zdecydował. Jednakże są w ich utworach poetyckich takie, które zdają się współgrać w swej tematyce. U obu poetów widać wyraźnie pasję obnażania głupoty szlachty, troskę o losy państwa, zdającego się być kolosem na glinianych nogach. Rzecz wydawałaby się najważniejsza – bezpieczeństwo kraju została poświęcona na ołtarzu partykularnych interesów, uporu, postawy: „nie, bo nie”. Teksty obu naszych autorów powstały bardzo dawno, a jednak są porażająco aktualne i dzisiaj.

Czyżby wciąż Polak „i przed szkodą i po szkodzie głupi”?

Red.

JAN KOCHANOWSKI

PIEŚŃ O SPUSTOSZENIU PODOLA

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda, Polaku: ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprosny,
Nad Niestrem siedząc, dzieli łup żaloszny.
Niewierny Turczyn psy zapuścił swoje,
Którzy zagnali piękne łanie twoje
Z dziećmi pospołu a nie masz nadzieje,
By kiedy miały nawiedzić swe knieje.

Jedny za Dunaj Turkom zaprzędano,
Drugie do hordy dalekiej zagnano;
Córy szlacheckie (żał sie mocny Boże!)
Psom bisurmańskim brzydkie ścielą łoża.

Zbójce, niestety, zbójce nas wojują,
Którzy ani miast, ani wsi budują;
Pod kotarzami tylko w polach siedzą,
A nas nierządne, ach, nierządne, jedzą!

Tak odbieżałe stado więc drapają
Rozbójce wilcy, gdy po woli mają,
Że ani pasterz nad owcami chodzi,
Ani ostrożnych psów za sobą wodzi.

Jakiego serca Turkowi dodamy,
Jeśli tak lekkim ludziom nie zdołamy?

Ledwieć nam i tak króla nie podawa;
Kto sie przypatrzy, mała nie dostawa.

Zetrzy sen z oczu a czuj w czas o sobie,
Cny Lachu! Kto wie, jemu czyli tobie
Szczęście chce służyć? A dokąd wyroku
Mars nie uczyni, nie ustępuj kroku.

A teraz k temu obróć myśli swoje
Jakobyć szkody nieprzyjaciel twoje
Krwia swą nagroził i omył tę zmazę,
Której dziś niesiesz prze swej ziemie skazę.

Wsiadamy? Czy nas półmiski trzymają?
Biedne półmiski, czego te czekają?
To pan, i jadać na srebro godniejszy,
Komu żelazny Mars będzie chętniejszy.

Skujmy talerze na talery, skujmy,
A żołnierzowi pieniądze gotujmy.
Inszy to darmo po drogach miotali,
A my nie damy, bychmy w cale trwali?

Dajmy, a naprzód dajmy! Sami siebie
Ku gwałtowniejszej chowajmy potrzebie.
Tarczej niż piersi pierwej nastawiają,
Pozno puklerza przebici macają.

Ciesz mi ten rym: «Polak mądr po szkodzie»;
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbudzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi.



WACŁAW POTOCKI

POSPOLITE RUSZENIE

Dano znać do obozu od placowej straży,
Że nieprzyjaciel nocą na imprezę waży,
Że Kozacy strzelają gęsto z samopałów,
Toż rotmistrz: „Dobosz, obudź Ichmości do wałów!
Niechaj każdy przy swoim zbrojno stawa koszu,
Ni - mijajże żadnego namiotu, doboszu!”
A ten: „Wstawajcie, Waszmość, czym prędzej, dla Boga,
Pan rotmistrz rozkazuje, bo już w polu trwoga.”
Aż jaki taki w swoim ozwie się namiecie: [...] „Kto widział budzić ludzi w pierwospy! Oszalał
Pan rotmistrz, albo sobie gorzałki w czub nalał?
Niechże sam strzeże, jeśli tak dalece tchórzy,
A wolnej, równej szlachty sobie snem nie morzy.
Sprawi się w Proszowicach, za pomocą Bożą,
Że braciej rozkazuje z chłopami na stróżą!”
Widząc dobrze, że go nikt zgoła nie usłucha,
Poszedł i sam spać, nim kto strzepie mu kożucha.
I rotmistrz, towarzystwo kiedy się nie trwoży,
Zdjąwszy zbroję ze grzbietu, znowu się położy.

DANUTA STOLAREK

ANŻELIKA BAŁABANOWA – NIEZNANA ROSYJSKA REWOLUCJONISTKA

(PIERWSZA RADZIECKA DYSYDENTKA)

Aż do emisji filmu dokumentalnego – 12 marca 2012 roku na kanale „Rossija 1” – „Anżelika Bałabanowa. Rosyjska żona Mussoliniego”, w reżyserii Denisa Krasilnikowa, tylko nieliczne grono Rosjan słyszało nazwisko Anżeliki Bałabanowej, wiedziało o jej istnieniu i działalności. W żadnym podręczniku do historii w okresie ZSRR nie wymieniono jej nazwiska, choć znalazły się tam osoby z niewielkim dorobkiem rewolucyjnym. Nowa Rosja też pominęła ją milczeniem. Z jej bogatego dorobku pisarskiego w Rosji wydano zaledwie jedną książkę: *Moje życie – walka. Memuary rosyjskiej socjalistki 1897-1938*, która wyszła bez szczególnego rezonansu w 2007 r. w wydawnictwie Litagent „Centropoligraf” w przekładzie L. A. Karpowej z języka angielskiego («My life as a Rebel»). Dziennikarka D. Doronina napisała recenzję. I zapadła cisza aż do emisji filmu na kanale „Rossija 1”.

Z filmu widz rosyjski dowiedział się, że postać ta jest szeroko znana we Włoszech, że kręcą o niej filmy fabularne, tam znajduje się bogate archiwum jej i o niej, a w filmie wystąpił jej włoski biograf, Amadeo La Mattina, dziennikarz gazety „La Stampa”, autor książki jej poświęconej *Mai sono stata tranquilla*. Również we Francji przygotowywana jest jej pełna biografia. W Rosji tylko kilku historyków specjalizujących się w historii ruchu socjalistycznego zna to nazwisko, a w fil-

mie zaledwie jeden wypowiedział o niej kilka zdań (Władimir Genis). Wspomnił o niej historyk ruchu rewolucyjnego Jarosław Leontiew i mimochodem w swoich publikacjach wspomina historyk i publicysta Leonid Mleczin. Historyk A. Titow wyraża zdumiewające przypuszczenie, że mogła być agentem bolszewickim, dlatego wszelkie materiały o niej są utajnione.

Kim była ta zagadkowa postać? Mimo filmu i publikacji jej autobiograficznej powieści nadal w Rosji niewiele o niej wiadomo. Jej nazwisko jest znane w wielu krajach europejskich. Francuska dziennikarka M. Lafon w 2016 r. wydała monografię jej poświęconą. Nawet jej nazwisko we wzmiankach rosyjskich jest podawane jako Anżelika Issakiewna Rojzman, a Bałabanowa jako nazwisko jej męża inżyniera Michaiła Solomonowicza Bałabanowa, ukraińskiego mieńszewika, co mało prawdopodobne, ponieważ jej bracia i ich żyjący potomkowie noszą to nazwisko. Istnieją przypuszczenia, że ze względu na konspiracyjnych męż przybrał jej nazwisko lub był jej krewnym o tym samym nazwisku. Daty aresztu Michaiła i jej pilnego wyjazdu zagranicę są zbieżne – rok 1897! O samym małżeństwie też nie ma żadnej wzmianki w jej powieści autobiograficznej. Podobnie jak i wzmianki o jej żydowskim pochodzeniu; nigdy też nie poruszała kwestii żydowskiej w Rosji.



Anzjelika Bałabanowa

Jej powiązania z Rosją próbowała prześledzić dziennikarka D. Doronina. Przy wyjaśnianiu szczegółów biografii naszej bohaterki trafiła na więcej pytań niż odpowiedzi. Jest kilka publikacji ukraińskich, ponieważ Ukraina zaliczyła ją do panteonu swoich pięciuset najwybitniejszych postaci. Sama A. Bałabanowa nie wspominała o Ukrainie, z którą łączyło ją tylko miejsce urodzenia – miasto Czernihów.

Według wersji z jej memuarów Anzjelika Izaakowna Bałabanowa urodziła się w 1877 roku. Ojciec był zasymilowanym Żydem, kupcem pierwszej gildii, szanowanym obywatelem, trzykrotnie wybranym na radnego ziemstwa powiatowego. Była najmłodszą z siedemnaściorga (w innej wersji szesnaściorga) rodzeństwa, z czego do pełnoletności dożyło dziewięcioro (według jej wspomnień, według prawnuczki jej brata – troje). Ojciec reprezentował przywiązanie do europejskich tradycji i poglądów. W domu mówiono tylko po francusku i po niemiecku, nigdy w jidysz. Po rosyjsku mówiła tylko służba i od niej Anzjelika uczyła się w tajemnicy przed matką rosyjskiego.

Jej dzieciństwo upłynęło w zamożnym domu i byłoby szczęśliwe, gdyby nie surowy charakter wymagającej matki, która swoim postępowaniem wykształciła w niej ducha buntowniczkę. Despotyczna matka izolowała ją od kontaktów z rówieśnikami. Zapewniła jej znakomite wykształcenie domowe angażując guwernantki i nauczycieli prywatnych. Celem wychowania i kształcenia było przygotowanie córki do korzystnego zamążpójścia. Stosunek Anzjeliki do matki był bardzo krytyczny. Irytowała ją pokazowa dobroczynność, stosunek do dzieci i pogardliwe traktowanie służby.

W skąpych źródłach rosyjskich znajdujemy wzmiankę o jej dążeniu do wyrwania się spod kurateli despotycznej matki i bardzo szybkim wyjściu za mąż. Nigdy nie pisała o swoim ślubie. Jedyna żyjąca krewna (prawnuczka jej brata) twierdzi, że nigdy nie była mężatką i nie miała dzieci. Jej wspomnienia nic nie wyjaśniają, a raczej na odwrót, nawet w sprawach rodzinnych. W 1897 roku, w wieku 20 lat zrywa wszelkie kontakty z rodziną i wyjeżdża do Brukseli. Też nie wiadomo, czy była to chęć rozpoczęcia studiów, czy areszt Michaiła Bałabanowa i raczej była to więc ucieczka? Sama bohaterka niczego nie wyjaśnia. Nic nie pisze o swoim zaangażowaniu politycznym w tamtym okresie. Za granicą utrzymywała się ze środków przesyłanych przez brata, na rzecz którego sędowała swoją część należnego jej majątku rodzinnego.

Nowy Uniwersytet Brukselski, utworzony przez lewicowych intelektualistów w 1894 roku, był uważany za najbardziej postępowy i akurat tam wrzała działalność różnych kółek socjalistycznych. Bruksela była jednym z ośrodków, do którego przyjeżdżali rewolucyjni radykałowie z krajów wschodnioeuropejskich, głównie z Rumunii, Bułgarii, Rosji. Tam poznała G. Plechanowa i pod jego wpływem zafa-

scynowała się marksizmem. Uzyskała stopień doktora filozofii i literatury. Później kontynuowała studia na Uniwersytetach w Berlinie i Lipsku w dziedzinie ekonomii. Poznała tam Klarę Zetkin, Różę Luksemburg, A. Bebelą oraz wielu rosyjskich i włoskich emigrantów. Tam też przystąpiła do związku socjaldemokratów.

W 1900 roku została studentką uniwersytetu w Rzymie, pogłębiała wiedzę z dziedziny ekonomii politycznej, poznała tam teoretyka marksizmu A. Labriolę. Była już w pełni przekonaną socjalistką; w 1902 r. wstąpiła do Włoskiej Partii Socjalistycznej. Z polecenia partii wyjechała do Lozanny, aby prowadzić agitację wśród emigrantów włoskich. Podczas pobytu w Szwajcarii – w Bernie – poznała W. Lenina i L. Trockiego. Długo pozostawała pod urokiem tego drugiego; korespondowała z nim aż do końca jego życia w Meksyku. Lenin zaś był zachwycony jej kunsztem oratorskim, natomiast sam nie wywarł na niej pozytywnego wrażenia. Na niej zrobił wrażenie „prowincjonalnego nauczyciela”. Brytyjski dyplomata B. Lockhart porównał go do „prowincjonalnego sklepikarza”.

Bałabanowa reprezentuje rosyjskich emigrantów na kongresach socjalistycznych w Szwecji i Szwajcarii. W 1905 r. odbyła swoje tournée z prelekcjami po Włoszech zbierając środki na działalność rewolucyjną. Ciekawostką jest to, że zebrała trzy razy więcej niż M. Gorki w Ameryce, gdzie wówczas był znanym i popularnym pisarzem.

Jak niezwykle aktywna była jej działalność w tych latach, może świadczyć swoje kalendarium tych lat. W 1906 r. przyjechała do Rosji i zaproponowała gremiom kierowniczym partii swoje usługi w kontaktach z europejskim ruchem socjalistycznym; później była zastępczynią oficjalnego przedstawiciela partii w Międzynarodówce G. Plechanowa.

W 1907 r. uczestniczyła z głosem doradczym na Londyńskim V zjeździe RS-DPR (Rosyjska Socjaldemokratyczna Partia Robornicza) w imieniu Centralnego Biura zagranicznych grup wsparcia. Początkowo A. Bałabanowa przyłączyła się do mniejszewickiego skrzydła SDPRR. W 1909 roku działalność polityczną zetknęła ją z Inessą Armand, spotykały się wielokrotnie, uczestniczyła w jej pogrzebie w Moskwie w 1920 roku.

Znajomość języków obcych i popularność w socjalistycznych kręgach Europy spowodowało, że stała się niezastąpioną pośredniczką między socjalistami Europy i Rosji, szczególnie podczas blokady informacyjnej wokół Sowieckiej Rosji. Zachowały się ciepłe wspomnienia o niej Aleksandry Kołłontaj.

Znajomość wielu języków obcych pomagała jej więc prowadzić działalność międzynarodową. Wygłaszała prelekcje w wielu krajach. Jej entuzjazm i pasja nie pozostawiały nikogo obojętnym. W wielu językach pisała znakomite broszury propagandowe, była znakomitą oratorką, nazywaną „gwiazdą agitacji”, „markizą komunistów”. Świetna znajomość pięciu języków obcych ułatwiała jej funkcjonowanie i działalność w wielu krajach. Często też na konferencjach międzynarodowych występowała jako tłumaczka wystąpień działaczy rosyjskich na emigracji. Wszyscy, którzy ją spotkali, podziwiali jej wielką erudycję, robiła wrażenie nawet na swoich oponentach. Była prawdziwą kosmopolitką. Znała świetnie języki francuski, niemiecki, angielski, włoski i rosyjski.

Po kongresie socjalistów włoskich w Reggio Emilia w 1912 roku weszła (do początku 1914 r.) w skład redakcji (oficjalnie – na stanowisku zastępcy redaktora naczelnego) organu włoskich socjalistów *Avanti!*. Była członkiem KC Włoskiej partii Socjalistycznej. Reprezentowała ją w Międzynarodowym Biurze Socjalistycznym.

Podczas wojny w 1915 roku uczestniczyła w naradzie włoskich i szwajcarskich socjalistów w Lugano w 1914 r. Wraz z Klarą Zetkin była jedną z przywódczyń na międzynarodowej kobiecej konferencji socjalistycznej w Bernie.

Pierwsza wojna światowa była swoistym przełomem w działalności A. Bałabanowej. Wiedziała, że społeczeństwo włoskie jest przeciwne przyłączeniu się do wojny. Partia socjalistyczna i prasa od początku prowadziła agitację antywojenną na rzecz neutralności. Podobną pozycję początkowo zajął także B. Mussolini (w lipcu-sierpniu 1914 r.). Okazało się jednak, że największa i najbardziej wpływowa Socjaldemokratyczna Partia Niemiec zagłosowała za przyznaniem kredytów na cele wojenne.

Było to wstrząsem dla socjaldemokratycznych ruchów europejskich. Dla Bałabanowej oznaczało to krach wiary w jedność II Międzynarodówki i upadek poprzednich autorytetów. G. Plechanow i A. Labriola, którzy rosyjskiej rewolucjonistce otworzyli świat marksizmu, złamali poprzednią solidarność. Plechanow, ojciec rosyjskiego marksizmu, stwierdził, że tylko wiek nie pozwala mu iść na front i walczyć z Niemcami. To zmusiło ją do pewnych przewartościowań poglądów, ale nie do rezygnacji z dalszej działalności.

Na I konferencji Zimmerwaldzkiej w 1915 roku i w 1916 w Kienthalu, wraz z R. Grimmem pełniła funkcję sekretarza Międzynarodowej Komisji Socjalistycznej. Wybór był poparty przez bolszewików, mimo że wciąż krytykowali moralno-idealistyczne motywy jej działalności antywojennej. Znajomość języków obcych i popularność w socjalistycznych kręgach Europy spowodowały, że stała się niezastąpioną pośredniczką między socjalistami Europy i Rosji, szczególnie w latach blokady informacyjnej wokół Sowieckiej Rosji.

Ciekawym epizodem w jej życiu była znajomość i przyjaźń z B. Mussolinim. W 1904 roku w Lozannie na mitingu poświęconym 33 rocznicy Komuny Paryskiej, zorganizowanym przez filię Włoskiej Partii Socjalistycznej, gdzie była główną prelegentką, poznała B. Mussoliniego. Bezrobotny wówczas syn kowala-anarchisty, porzucił posadę nauczyciela; uciekł przed poborem do wojska do Szwajcarii (będącej dość dużym skupiskiem emigrantów włoskich). W dzień zbierał jałmużnę, w nocy grabił przechodniów. Był bardzo brudny, nędznie ubrany, wiódł życie włóczęgi mieszkającego pod mostami.

Po jednej z prelekcji podeszła do niego A. Bałabanowa, zahipnotyzowana wyrazem determinacji na jego twarzy. Zaopiekowała się nim. Zaczęła uzupełniać braki w jego wykształceniu, zainteresowała go sztuką, odkryła dla niego świat estetyki i kultury, uwrażliwiła na piękno. Miała ogromny wpływ na jego rozwój intelektualny. Zapoznała go z pracami wielu socjalistów, m.in. K. Marksa, G. Plechanowa, G. Sorela i innych. Stopniowo kształtowała w nim ducha zaangażowanego socjalisty. Zapewniła mu źródło zarobkowania. Przetłumaczyła za niego z języka niemieckiego broszurę K. Kautsky'ego „Przyszłość rewolucji”.

Miała wówczas 24 lata, on 19. Mając duże wpływy wśród socjalistów włoskich przekonała ich do wydawania organu partyjnego i zaproponowała, by został redaktorem naczelnym rewolucyjnej gazety *Avanti!*. Sama została zastępcą. Pisała za niego wiele artykułów, honoraria przekazywała na potrzeby partii. Można powiedzieć, że wypromowała go. Później sam B. Mussolini zaczął pisać ostre artykuły, pamflety, w których gromił wrogów ideologicznych. Ponadto nauczyła go wystąpień publicznych, naśladował później jej entuzjazm, umiejętność porywania tłumów.

Z tymi latami wiąże się historia o ich romansie, o którym nic nie pisze sama Bałabanowa. W ogóle unika wątków osobistych, wspomina tylko ze współczuciem o jego żonie, ale w dość dziwny sposób. Znajomi z tych czasów raczej robili aluzje do romansu, nikt nie mówił wprost. Nigdy nie zamieszkali razem, do pracy i po pracy zawsze razem wracali, mieszkali w pobliżu. Istnieje wersja, że córka Edda była owocem związku z Mussolinim. Ale rodzi się pytanie: czemu więc oddała ją na wychowanie rodzinie Mussolinich?

Wnuczka B. Mussoliniego Alessandra Mussolini zdecydowanie zaprzecza istnieniu jakichkolwiek jego związków „z jakąś tam Ruską”. Nazywa ją „ruską awanturnicą”, akcentując, że jej dziadek był wiernym mężem, miłośnikiem życia rodzinnego, kochającym dzieci. Temu z kolei przeczy biografia Mussoliniego. Jak twierdzi włoski biograf, A. Bałabanowa kochała Mussoliniego, jemu zaś w pewnym okresie była potrzebna dla kariery. W swoich wspomnieniach ani Mussolini ani Bałabanowa nie czynią nawet aluzji odnośnie istnienia jakichkolwiek intymnych relacji między nimi.

Dokładnie poznała jego mentalność. Zauważyła, że jego radykalizm i antyklearykalizm wyrastał z biedy i nienawiści do bogaczy, wynikających z chęci odwetu za nędzę i poniżenia w młodości. W pracy dał się poznać jako próżny egocentryk ze skłonnością do hysterii.

Jak już wspomniano, w 1912 roku została członkiem KC Włoskiej Partii Socjalistycznej i doprowadziła do utworzenia organu partyjnego. Dzięki niej zaczęła się ukazywać gazeta *Avanti!*, której B. Mussolini został redaktorem naczelnym, ale postawił warunek, że A. Bałabanowa będzie jego zastępczynią. Jego ostre artykuły, pamflety, ataki na wrogów ideowych były redagowane przez A. Bałabanową. Współpracownicy twierdzili, że jego była tylko



Anżelika Bałabanowa i Dawid Ben Gurion

idea. Wszelkie artykuły polemiczne, spotkania redakcyjne zrzucił na nią, wykręcał się stanem zdrowia, koniecznością wizyt u lekarzy, albo jakoby ważnymi spotkaniami.

Niezależnie od dalszych losów sam B. Mussolini po latach tak pisze o ich relacjach: „Jestem wobec Anżeliki znacznie bardziej zobowiązany niż ona sądzi. Zarówno jej wspaniałomyślność, jak i jej przyjaźń, a także jej niechęć nie znały granic. Gdyby w socjalizmie była dopuszczalna liturgia i rytuały religijne, święta Anżelika socjalizmu powinna zająć honorowe miejsce na politycznym empireum, mającym Marksa za stwórcę nieba i ziemi. Gdybym nie spotkał jej w Szwajcarii, pozostałbym nieznaczącym aktywistą partyjnym, niedzielnym rewolucjonistą, nie zapłonąłbym ogniem politycznego profesjonalizmu, jeśli użyć określenia Sorela”.



Benito Mussolini

Zarzucano Bałabanowej, że z brudnego włóczęgi i awanturnika „stworzyła” intrYGanta i przyszłego faszystę, który lubił powtarzać: „niczego się nie boję, póki mam ołówek w ręku i pistolet w kieszeni”.

W czasie pierwszej wojny światowej ich drogi się rozeszły. We Włoskiej Partii Socjalistycznej nastąpił rozłam. W listopadzie 1914 roku B. Mussolini zakłada własną gazetę *Il Popolo d'Italia*, która stanie się organem rodzącego się faszyzmu. W jednym z jej numerów Mussolini opublikował artykuł „Działać jak w Rosji”. W innych często powoływał się na działania radzieckie, kopiował w życiu metody bolszewickie. W 1919 roku dwa artykuły poświęcił Ukrainie (czyżby pod wpływem Bałabanowej zainteresował się tym nowo tworzącym się krajem?): „Ukraina w przyszłości może zostać głównym sojusznikiem strategicznym Włoch w Europie”.

Gazeta przetrwała do lipca 1943 r. Podczas II wojny światowej w 1942 r. Bałabanowa napisała książkę o B. Mussolinim *Zdrajca: Benito Mussolini i jego «zdobyć» władzy*.

W czasie pierwszej wojny była zdecydowaną przeciwniczką przystąpienia Włoch do działań wojennych. Rozczarowała ją postawa zarówno Plechanowa jak i socjalistów niemieckich i ich poparcie dla kredytów na potrzeby wojny. Uważała to za zdradę ideałów socjalizmu. Aktywnie działała w ruchu socjalistów o antywojennym nastawieniu.

Na konferencjach w Zimmerwaldzie i w Kienthal socjaliści aktywnie prezentowali swoją antywojenną postawę, co oburzyło socjalistów rosyjskich, którzy w wojnie upatrywali szansę na wybuch rewolucji w Rosji. Bałabanowa tłumaczyła wystąpienia socjalistów zarówno z krajów walczących jak i neutralnych. Ważnym punktem były negocjacje między delegacjami niemiecką i francuską. Szczególną pozycję zajęli bolszewicy, którzy nalegali na zerwanie z II Międzynarodówką i utworzenie III. Większość nie popierała tego pomysłu, Lenin musiał się zgodzić na kompromisową wersję rezolucji, zawierającą wspólny protest przeciwko wojnie i agitację na rzecz socjalizmu.

Zmieniły się też poglądy A. Bałabanowej: zrywa z mięszewikami, przechodzi do bolszewików. Reprezentuje ich na kongresach socjalistycznych w Szwecji i Szwajcarii. Po rewolucji lutowej w 1917 roku na prośbę Lenina przyjechała do Rosji. Jeszcze przed przewrotem październikowym przystąpiła do partii bolszewików. Aktywnie wspierała nową władzę, przekonana, że będzie kultywować idee socjalistyczne. W 1918 r. wyjechała do Charkowa, gdzie pełniła ważną funkcję pomocnika ministra spraw zagranicznych Ukrainy Radzieckiej Chrystiana Rakowskiego.

O jej pryncypialności w tym okresie świadczy pewien epizod. Kiedy siostra prosiła ją o pomoc w zwolnieniu ciężko chorego syna ze służby w Armii Czerwonej, kategorycznie odmówiła: „niech służy jak wszyscy”. Uważała, że „burżuazyjni

krewni są piętnem rewolucjonisty”. Siostra z mężem i synem z trudem wydostała się statkiem do Konstantynopola. Tam zmarli z głodu. Siostrzeńcowi udało się przedostać do Paryża. Andżelika tam go spotkała, ale nie wspomina o dalszym jego losie.

Po wybuchu rewolucji lutowej uskrzydleni nadzieją na zwycięstwo rewolucji socjalistycznej emigranci rosyjscy postanawiają udać się do Rosji. W zaplombowanym wagonie przez terytorium Niemiec, na czele z Leninem, udają się następnie przez Szwecję i Finlandię do Piotrogradu. Wśród nich jest też A. Bałabanowa. Lenin i inni członkowie grupy bolszewickiej przekonali ją, że ze względu na znajomość języków obcych i szeroką popularność w kręgach europejskich socjalistów bardziej przyda się sprawie bolszewickiej w Szwecji niż w Rosji.

W 1918 r. wspomagała działalność Ch. Rakowskiego, przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Ukrainy, później komisarza spraw zagranicznych. Przez krótki czas zajmowała to stanowisko, znów odwołano ją do Moskwy. Będąc na Ukrainie zobaczyła rozgrabiony dom rodzinny i dowiedziała się o okrutnej śmierci brata z rąk bolszewików, którego zwłoki zostały poćwiartowane, a jego żona zmarła wskutek odniesionych ran.

Na nieszczęście dała rekomendację do partii swojemu bratankowi Leonidowi (synowi Samuela), urodzonemu w 1900 roku, który przypłacił to życiem. W latach wielkiego terroru w 1937 r. został aresztowany, w 1938 r. rozstrzelany. Przed rozstrzelaniem prosił o spalenie wszystkich listów od Andżeliki. W archiwum rodzinnym zachował się tylko jeden z nich.

Ze Szwecji do Rosji przyjechała dopiero po zawarciu pokoju brzeskiego. Jesienią została wysłana do pracy w Szwajcarii, ale już w listopadzie została wydalona ze Szwajcarii wraz z całą bolszewicką misją. W latach 1919-1920 pracowała w sekreta-

riacie Kominternu i uczestniczyła w przygotowaniu dwóch pierwszych kongresów.

Z powodu braku akceptacji dla cynicznych i perfidnych działań G. Zinowiewa i innych liderów komunistycznych w stosunku do delegacji zagranicznych oraz terroru reżymu sowieckiego wobec socjalistów-opozycjonistów, Bałabanowa została wykluczona z Kominternu. Miała bardzo krytyczny stosunek do „czerwonego terroru”. W Moskwie zaprzyjaźniła się z J. Reedem, oboje z przerażeniem patrzyli na poczynania nowej władzy i jej metody.

Nie zaprzestała działalności w Kominternie. Redagowała biuletyn Kominternu, kierowała biurem informacyjnym, przygotowywała informacje o sytuacji w Rosji i wysyłała do gazet na całym świecie. Do czego naprawdę była potrzebna bolszewikom, może świadczyć list Lenina do niej: „Droga towarzyszko, praca którą się zajmujecie jest dla nas niezwykle ważna i proszę ją kontynuować. Liczymy na was, jako na człowieka udzielającego nam najbardziej skutecznego wsparcia. Nie myślcie o środkach. Wydawajcie miliony, setki milionów jeśli to konieczne. Do waszej dyspozycji jest dużo pieniędzy. Z waszych listów zrozumiałem, że niektórzy kurierzy nie dostarczają w porę naszych gazet. Podajcie ich nazwiska, wszyscy sabotażyści będą rozstrzelani”.

Po zakończeniu wojny na terytorium rosyjskim pozostało wielu jeńców wojennych różnej narodowości, których bolszewicy postanowili wykorzystać jako propagatorów socjalizmu w swoich krajach. Powstał wówczas Komisariat Spraw Zagranicznych, który miał dość przypadkowych współpracowników. Zdaniem A. Bałabanowej „wszyscy byli jeńcami wojennymi w Rosji, większość wstąpiła niedawno do partii ze względu na korzyści i przywileje. Żaden z nich nie miał kontaktów z ruchem rewolucyjnym w swoim kraju, nie znał teorii socjalizmu”.

Sumy wydawane na te akcje nie miały znaczenia. A. Bałabanowa na Kremlu spotkała Włochów, których przygotowywano do powrotu do kraju i prowadzenia wśród socjalistów agitacji na rzecz bolszewików. Otrzymali duże kwoty pieniędzy i osobiste rekomendacje od Lenina, „aby pracowali na rzecz republiki radzieckiej”, by organizowali akcje wywrotowe za granicą.

Już w krótkiej rozmowie zorientowała się, że oni nie mają pojęcia o socjalizmie i ruchu robotniczym w swoim kraju. Kiedy próbowała przekonać Lenina o niecelowości tych działań, odparł jej, że „do rozwalania partii w swoich krajach tacy też się przydadzą”. Po kilku tygodniach otrzymała z Włoch informację, że „włoscy emisariusze” pieniądze wydali na restauracje i domy publiczne w Mediolanie. Lenin działał zgodnie ze swoją logiką – cel uświęca środki. Wobec różnych awanturników, żądnych łatwego zarobku jeńców z innych krajów, działano podobnie. Nie żałowano klejnotów z carskich i arystokratycznych pałaców.

Już w 1919 r. w prasie bolszewickiej zaczęły się pojawiać artykuły atakujące A. Bałabanową za jej zdecydowane potępienie czerwonego terroru, przemocy wobec mieńszewików i eserów, samowoli nowej władzy, odejścia od ideałów socjalizmu. Już wtedy pojawiły się jej wątpliwości dotyczące działań bolszewików: potępiała czerwony terror, metody ich działań nazwała „krwawą parodią władzy ludu”.

Z przerażeniem patrzyła na rodzący się „realny socjalizm”, masowe kaźnie przeciwników politycznych (głównie eserów i mieńszewików). Próbowała rozmawiać o tym z Leninem, ale nie znalazła zrozumienia dla swoich argumentów. Podobno z cynicznym uśmiechem skwitował jej argumenty stwierdzeniem, że życie niczego jej nie nauczyło, a „wszystko, co się robi w interesie proletariatu jest uczciwe. Nawet terror”.

Ataki na nią ze strony bolszewików, a szczególnie G. Zinowiewa, którego poznała jeszcze w Paryżu i uważała za wyjątkową kanalię, były coraz bardziej napaśtliwe. Jak napisała o nim w swojej autobiograficznej książce: „po Mussolinim był to najbardziej nikczemny osobnik, jakiego znałam”.

Ostatnią kroplą przepelniającą czarę goryczy była próba Zinowiewa rozbięcia Włoskiej Partii Socjalistycznej w 1920 roku, która wysłała do Rosji Sowieckiej delegację w celu nawiązania kontaktów. Po rozmowie z Leninem poprosiła o zgodę na opuszczenie Rosji. Uzyskała ją z osobistą adnotacją Lenina: „Towarzyszce Bałabanowej udziela się zgody na opuszczenie Rosji na własną odpowiedzialność. Zabrania się jej wyrażania własnych poglądów w formie ustnej lub pisemnej w kwestii włoskiej”.

Uratowali ją przyjaciele ze szwedzkiego przedstawicielstwa dyplomatycznego, wywożąc ją jakoby na leczenie do Szwecji. Bez żalu, jak niegdyś rodzinę, teraz na zawsze w wieku 43 lat porzuciła Rosję. Była pierwszą dysydentką w nowym państwie radzieckim. Została wykreślona z historii ZSRR, a we współczesnej Rosji jest znana zaledwie niewielkiej grupie historyków i publicystów.

W 1921 roku kierownictwo bolszewickie zwolniło ją z pracy w sekretariacie Kominternu. Dzięki pomocy F. Adlera otrzymała wizę austriacką. Obywatelstwo austriackie zachowała do końca życia. Zamieszkała w tanim pensjonacie, utrzymywała się z nauczania języków obcych, nie prowadziła żadnej działalności partyjnej. Odmawiała przyjmowania zaproszeń na huczne przyjęcia w ambasadzie rosyjskiej, gdzie ilość szampana i kawioru miała demonstrować dobrobyt w „kraju zwycięskiego socjalizmu”. Były to dwie kategorie przyjęć: jedne bardzo wystawne dla burżuazji i dyplomatów, drugie nader skrom-

ne dla komunistów i zwolenników komunistów. Robotników przybyłych z gratulacjami z okazji rocznicy przewrotu październikowego po prostu nie wpuszczano na teren ambasady. Władze sowieckie próbowały ją ściągnąć z Wiednia do Moskwy. Kategorycznie odmówiła.

W 1924 roku dowiedziała się z gazety „Prawda”, że została usunięta z partii bolszewickiej za „działalność mieńszewicką i współpracę z faszystowską gazetą „Avanti!””, a CzeKa przygotowała nakaz jej aresztowania. W owym czasie wykluczenie z partii traktowano poważnie, sprawa A. Bałabanowej, powszechnie znanej rewolucjonistki, wymagała opublikowania specjalnego dekretu, w którym stwierdzono, że jej członkostwo w partii było błędem i hańbą dla partii. Później podobne dekryty będą dotyczyły L. Trockiego, G. Zinowiewa i wielu innych „wrogów ludu”.

Lata 1926 – 1935 spędziła we Francji. Odnowiła kontakty z włoskimi socjalistami, publikowała krytyczne artykuły o taktyce Kominternu. Kiedy we Włoszech przewagę zdobyli faszyci i cała antyfaszystowska prasa została zakazana, wielu działaczy radykalnych grup marksistowskich wyjechało do Francji. Tam powstała nowa partia, która miała nadzieję na osiągnięcie jedności na arenie międzynarodowej. Tam też w 1927 r. udała się Bałabanowa, gdzie kierowała wydawaniem gazety *Avanti!* na wygnaniu. Przestrzegała przed jakimikolwiek kontaktami i związkami taktycznymi z bolszewikami. Mówiła: „Ja znam komunistów! Ja ich widziałam! Nie wierzcie im!” Pozostawała jak zwykle w mniejszości, ponieważ znaczna część lewicowców włoskich w latach 50-ych i 60-ych wyjątkowo pozytywnie odnosiła się do ZSRR.

Żyła bardzo skromnie. Wśród emigrantów żartowano, że ktoś „zjadł obiad po-bałabanowsku”, co oznaczało, że zadowolili się własną śliną. Pisała wiersze



Klara Zetkin

w 4 językach, pracowała nad swoimi memuarami. W 1935 roku wyemigrowała do USA, gdzie napisała pracę autobiograficzną *Moje życie – walka*, próbowała zde-maskować kult B. Mussoliniego, którego wspierali włoscy emigranci w USA. Jednakże książka rewolucjonistki, która wyszła w 1938 roku w amerykańskim wydawnictwie Harper and Brothers, spotkała się z chłodnym przyjęciem. Problemy europejskiego życia politycznego nie interesowały Amerykanów. W Nowym Jorku wydała dwa zbiory wierszy, tworzyła w pięciu językach: angielskim, francuskim, włoskim, niemieckim i rosyjskim.

Zmieniała miejsce pobytu, występowała na zebraniach amerykańskich socjalistów, z przerażeniem obserwowała umacniającego się faszyzm we Włoszech, wielkim rozczarowaniem okazał się Mussolini. Ona, zagorzała pacyfistka, przekonana, że kształtuje wzorcowego socjalistę, jako osobistą porażkę traktowała fakt, że wychowała zagorzałego faszystę. Na wieść o jego kaźni (była wówczas na zjeździe amerykańskich socjalistów w Chicago) podobno uroniła jedną łzę, którą obecni odebrali jako łzę radości; ale czy na pewno? Miała wówczas 67 lat.

W 1930 r. napisała po włosku książkę *Impresje o Leninie: obserwacje psychologiczne i konstatacje*, która w 1961 r. ukazała się w przekładzie na język niemiecki, a w 1964 r. na angielski. Nie ma informacji o przekładzie na rosyjski. Rów-

niez W 1959 r. w niewielkim socjaldemokratycznym wydawnictwie ukazała się po włosku książka Bałabanowej *Lenin z bliska (Lenin visto da vicino)*, zawierająca krytykę działań Lenina. Pisała o nim m.in.: „Lenin nie był ślepy ani obojętny na szkody, jakie ludzie nieuczciwi mogą wyrządzić ruchowi, a mimo to posługiwał się osobnikami, którzy byli zakałą ludzkości. (...) Bolszewicy (...). Korzystali z usług każdego, jeżeli był sprytny, pozbawiony skrupułów, obrotny, potrafił wszędzie się wkręcić i pokornie wykonywać rozkazy zwierzchnika. (...) Uznając mnie za dobrą rewolucjonistkę, choć nie bolszewiczkę, Lenin i jego współpracownicy sądzili, że akceptuję ich metody: korupcję w celu osłabienia organizacji wrogich bolszewikom, oszczerstwo wobec opornych, których oskarżano o nieuczciwość i szkodzenie sprawie”.

W pracy o Leninie próbuje wyjaśnić, dlaczego rozeszły się drogi żarliwej socjalistki z przywódcą bolszewizmu: „Potrzebował raczej współuczestników niż współbojowników. Wierność pojmował jako absolutne posłuszeństwo i wykonywanie wszelkich poleceń, nawet takich, które są sprzeczne z ludzkim sumieniem”. Nie udało się znaleźć informacji, czy ta jej książka była wydana w ZSRR czy we współczesnej Rosji. W latach trzydziestych rozpoczęła pisanie autobiograficznej książki poświęconej działalności rewolucyjnej.

Po zakończeniu wojny wróciła do Włoch i znów zajęła się działalnością polityczną. Do końca życia interesowała się ruchem socjalistycznym we Włoszech. W 1947 r. współpracowała z Włoską Socjalistyczną Partią Pracowników, przekształconą w 1951 r. we Włoską Partię Socjaldemokratyczną. Kontynuowała prace nad powieścią autobiograficzną *Moje życie – walka: memuary rosyjskiej socjalistki, 1897-1938*, prowadziła koresponden-

cję z jeszcze żyjącymi socjaldemokratami z różnych krajów europejskich.

Z filmu dowiadujemy się, że przygarnęła ją niezamożna rodzina włoskich przyjaciół, u których spędziła ostatnie lata życia. Tam też zachowało się jej archiwum; niestety strona rosyjska nie jest zainteresowana jego odzyskaniem, mimo że zwracano się z tą propozycją do Rosji. Bałabanowa zmarła w Rzymie 25 listopada 1965 roku w wieku 88 lat. Została pochowana na rzymskim niekatolickim cmentarzu Testaccio, nieopodal A. Gramsci’ego. W dokumentacji cmentarza jest odnotowane, że została pochowana jako obywatelka Austrii; stąd potomkowie jej brata napotkali wiele trudności ze zlokalizowaniem mogiły. □

Bibliografia

1. Моя жизнь — борьба: мемуары русской социалистки, 1897–1938. М., 2007;
2. Ла Маттина А., «Я никогда не была спокойна». Жизнь Анжелики Балабановой, порвавшей с Муссолини и Лениным. СПб., 2024; przekład na ros. N. Kolesowa.
3. Lafont M., *The Strange Comrade Balabanoff: The Life of a Communist Rebel*. McFarland Publishers. 2016;
4. D. Wołkogonow, „Lenin. Prorok raj, apostoł piekła”; tł. M. Antosiewicz, wyd. Amber, Warszawa 2006;
5. R. Pipes, „Rosja bolszewików”, tł. W. Jeżewski, wyd. Magnum, Warszawa 2005;
6. R. Pipes, „Rewolucja rosyjska”, tł. T. Szafar, wyd. Magnum, Warszawa, 2006;
7. D. Wołkogonow „Trocki. Niewolnik idei, ideolog zbrodni”; tł. S. Głabiński, seria Wielcy historii, wyd. Amber, Warszawa 2008.

FRANCISZEK SARNEK I STRAJK NA UJ

Chciałbym przypomnieć postać Franciszka Sarnka (1888-1962), tłumacza pism hiszpańskiego anarchisty F. Ferrera, który w akademickim roku 1910/1911 był jednym z głównych organizatorów studenckiego protestu i przywódcą strajku skierowanego przeciw klerykalnym wpływom na UJ. Po uchwale senatu UJ o zawieszeniu go i naganie z sugestią zmiany uczelni, ukończył studia we Francji, w Nancy. W 1920 r. dosłużył się stopnia majora i Krzyża Walecznych. Potem zajmował się obroną przeciwgazową. Od 1923 do 1926 r. był kierownikiem działu do którego zadań należało techniczne zaopatrzenie wywiadu, zeznawał w procesie Michała Żymierskiego. Opublikował wiele artykułów na różne tematy, od sprawy polskości Śląska do przetwórstwa mleka. Po wojnie, ze względu przeszłość w „dwójce” nie mógł znaleźć pracy.

Poznałem Franciszka Sarnka w dzieciństwie i dobrze wspominam. Rodzice ceniili go za ogólną wiedzę, dyskutowali z nim, zapraszali go z żoną na Wigilię, w czym jego skrajny antyklerykalizm nie był przeszkodą. Po latach zaciekała mnie jego przeszłość, tak trafiłem na sprawę strajku studentów w Krakowie w 1910 r. Okazało się, że bardzo aktywnym uczestnikiem tamtych wydarzeń był też inny znajomy rodziców – Czesław Faustyn Kuźniar (1889-1955), wybitny geolog, człowiek obdarzony niezwykłą inteligencją.

Na uwagę zasługuje też sprawa konfliktu, bardzo charakterystyczna dla naszego kraju, w którą zaangażowali się tak różni ludzie, jak I. Daszyński, J. Leszczyński („Leński”), K. Iłakowiczówna, M. Falski i kilku rektorów UJ: były: (Tarnowski), ówczesny (Witkowski) i przyszły: Zimmer-

mann, a która moim zdaniem jest przedstawiana zbyt schematycznie.

Nie jestem historykiem (byłem, podobnie jak Sarnek, chemikiem); może moja krótka notatka zachęci kogoś do napisania obszerniejszego tekstu.

W wydarzeniach nazwanych „Zimmermanniadą”, które doprowadziły do strajku studentów UJ nastąpiło zderzenie różnych postaw, różnych osobowości. Wielu krakowskich studentów pozostających pod silnym wpływem idei socjalistycznych (zwłaszcza ci, którzy przybyli z zaboru rosyjskiego po rewolucji 1905 r.) domagało się unowocześnienia studiów, a w tym utworzenia katedry socjologii. Natrafiało to, jak każda nowość, na opór. Jednocześnie Uniwersytet utworzył Katedrę Chrześcijańskich Nauk Społecznych na Wydziale Teologii UJ. Ks. Zimmermann przedstawił swój program w broszurze „Kilka zdań o potrzebie działalności społecznej duchowieństwa”. Ks. Zimmermann był znany jako społecznik, współpracownik Karola Marcinkowskiego, ale jego dorobek naukowy był dość ubogi. W opinii osób popierających jego kandydaturę miał on zamiar sprawić, że Uniwersytet wykształci księży, którzy będą rozumieli problemy swoich parafian i będą im pomagali.

Kłopot pojawił się przy układaniu planu zajęć. Z rozporządzenia ministra wynikało, że profesor Zimmermann powinien mieć 6 godzin wykładów w tygodniu i tyle zaplanowano dla studentów teologii. Ale na to nie zgodził się biskup krakowski, Jan kardynał Puzyrna. Uznał, że 3 godziny w zupełności wystarczą. Kardynał uważał, że przecenianie kwestii społecznych jest błędem. Według niego, rozwiązaniem problemów społecznych, wytworzonych w XIX



Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego

i XX wieku, mogło być rozpowszechnienie taniego (za 6 centów), wydania katechizmu.

Wobec tego ogłoszono, że profesor ksiądz Zimmermann wygłosi wykład dostępny dla wszystkich na temat „gospodarczych i zarobkowych organizacji w Księstwie Poznańskim”. Organizacje lewicowe uznały to za próbę klerykalnej agitacji. Na wykład do sali im. Kopernika przyszły duże grupy młodzieży reprezentujące różne organizacje. Liczbę obecnych obliczono później na 500. Było gorąco i duszno. Prelegent został przywitany oklaskami i okrzykami; „niech żyje” mieszało się z „hańba” i „precz”. Uruchomiono wiele gwizdków. Profesor stał bezradny, czekał, aż mu dadzą dojść do słowa. Jedni śpiewali „Jeszcze Polska” inni „Krew naszą długo leją kaci”. W ogólnym zamęcie przewrócono katedrę, Profesor wyszedł, a w sali studenci urządzili wiec. Przemawiał Franciszek Sarnek, zaś Czesław Kuźniar wygłosił referat,

w którym przedstawił uprzywilejowaną sytuację studentów i profesorów wydziału teologicznego. Obok oddzielenia wydziału teologicznego od UJ, protestujący domagali się powstania katedry socjologii na wydziale filozofii. Potem przeszli pod pomnik Mickiewicza i tam też odbył się wiec.

W grudniu i styczniu odbyło się jeszcze kilka przeważnie nieudanych prób wygłoszenia wykładu ks. Zimmermanna, równocześnie na wiecach studenci protestowali przeciw toczącemu się śledztwu, dotyczącemu aktów przemocy.

Na przełomie listopada i grudnia socjalistyczny „Naprzód” ogłosił obszernie fragmenty książki „Moja pani. Studium z natury. Przyczynek do psychologii księżych gospodyń”, będącej zbiorem felietonów ks. Zimmermanna, publikowanych w Kurierze Poznańskim, pod łatwym do odczytania pseudonimem. Książka – cytowana jako praca habilitacyjna (na żenująco ni-

skim poziomie) – była czymś w rodzaju pamiętnika, pełnego narzekań na temat osoby dość prymitywnej, słabo wykształconej, ale apodyktycznej. Były w nim też zwierzenia człowieka, który czuje się bardzo samotny, który z poczucia obowiązku pracuje dla dobra społeczeństwa, chociaż najchętniej zajmowałby się historią sztuki. To gruntownie ośmieszyło autora.

Pod koniec stycznia komisja senacka przedstawiła wnioski dotyczące ukarania blisko 300 osób. W odpowiedzi studenci zapowiedzieli strajk. 30 stycznia na uczelni o czwartej rano przeciwnicy strajku – w uzgodnieniu z władzami UJ – pozamykali bramy. O siódmej przyszli członkowie organizacji lewicowych, ale nie mogli wejść. Wreszcie kilka osób przedostało się przez bramę górą. Były wśród nich Jadwiga Bujwid oraz wybitna taterniczka Helena Dłuska. Opisał to „Głos Narodu” zgorzony widokiem „bielizny panieńskiej powiewającej niedyskretnie nad setkami głów młodzieży”. Po przejściu na drugą stronę bramy, udało się ją otworzyć i zwolennicy strajku weszli na teren uczelni. Rozbili szklane drzwi do westybulu, potem ławką staranowali drzwi do sali i przystąpili do budowania przeszkód dla spodziewanych sił porządkowych. Przeciwnicy strajku opuścili Uniwersytet, zaś teren otoczyła policja. Rozpoczął się wiec z udziałem około 300 osób. Dyskutowano podjęcie strajku okupacyjnego. Kuźniar zaproponował, aby uznać rozbicie szyby za przypadek i zbierać składki na pokrycie wyrządzonych szkód.

Na wniosek Senatu wezwano wojsko, stworzyło ono wokół uczelni potrójny kordon z postawionymi bagnietami. Studenci wysłali delegację do posłów Ignacego Daszyńskiego oraz Adolfa Grossa. Razem z posłami przybył rektor August Witkowski i ogłosił, że zgodnie z telegraficznym zarządzeniem ministra Uniwersytet zostaje zamknięty a strajkujący powinni opuścić teren. Przewodniczący wiecu (Kuźniar),

zażądał wycofania wojska i zadeklarował, że wtedy studenci wyjdą. Rektor zgodził się. Studenci po wyjściu z uczelni zgromadzili się pod pomnikiem Mickiewicza. Powołano komitet strajkowy, zaś przewodniczącym wybrano Sarnka.

Przerwa w zajęciach trwała do końca marca.

Ostatecznie ks. Zimmermann pozostał na swoim stanowisku, decyzją senatu Franciszek Sarnek został zawieszony na dwa semestry, jedenaścioro osób (w tym Jadwiga Bujwid, Czesław Kuźniar i Julian Leszczyński-„Leński”) na jeden semestr, prawie 300 osób otrzymało nagany, wiele z nich z uwagą: *cum consilio abeundi*, czyli radą zmiany uczelni.

Przeglądając materiały policji przekazane Uniwersytetowi dotyczące 151 uczestników zajęć, można wyróżnić grupę około 30 najbardziej aktywnych osób. Pamiętając, że podczas strajku byli oni oskarżani o chęć usunięcia wiary katolickiej i walkę przeciw interesom narodu, warto podkreślić, że w latach 1914-1920 większość (w tym Sarnek) trafiła do polskich formacji wojskowych. Potem, w wolnej Polsce, zajmowali odpowiedzialne stanowiska. Nieliczni (m. in. „Leński”) wybrali komunizm i zginęli w ZSRR.

Miałem okazję poznać C. Kuźniara (1889-1955) i F. Sarnka (1888-1962). Pierwszy z nich pracował w Państwowym Instytucie Geologicznym i cieszył się ogromnym szacunkiem, zarówno jako geolog (ponad 80 prac naukowych), jak też człowiek o wybitnym umyśle.

Franciszek Sarnek od młodych lat słynął z erudycji. Walery Goetel w swoich wspomnieniach napisał, że nigdy nie zapomni dnia, kiedy szedł od Babiej Góry ku Tatrom, a z nim Franciszek Sarnek „syn chłopski z tarnobrzesczczyzny”, który mając 16 lat „był znawcą Nietzschego i Strindberga, a ibsenowskiego Peer Gynta cytował całymi stronami”. Wsławił się tym, że był pierwszym w historii Krakowa maturzy-



Ks. Kazimierz Zimmermann

stą, który nie miał na świadectwie stopnia z religii. W 1911 r. jako członek Akademickiej Sekcji Towarzystwa Etycznego, która za swój cel uznała wykorzenienie przesądów religijnych, krzewienie zamiłowania do prawdziwej niezależności i pogardy dla wszelkich dogmatów, wydał tłumaczenie pism hiszpańskiego anarchisty F. Ferrera. W największym skrócie: program Ferrera polegał na wychowaniu pozbawionym przymusu i formowania religijnego.

Po uchwale senatu UJ o zawieszeniu go i naganie z sugestią zmiany uczelni, ukończył studia we Francji, w Nancy. W lipcu 1920 r. był kapitanem artylerii w 29 pułku lekkiej artylerii (pułk ten wtedy walczył na Wileńszczyźnie). Dosłużył się stopnia majora. Od 1923 do 1926 r. był kierownikiem podreferatu A-2, do którego zadań należało techniczne zaopatrzenie wywiadu. Razem z Z. Wojnicz-Sianożęckim był współautorem książki „Wojna chemiczna i obrona kraju”, wydanej ze wstępem I. Mościckiego. Po 1926 r. zeznawał w procesie Micha-

ła Żymierskiego, a potem pracował w firmie Alfa Laval.

Miał osobliwe poczucie humoru i był skrajnie antyklerykalny, co nie przeszkadzało moim rodzicom zapraszać go z żoną, panią Lodą (Leokadią) na Wigilię. W latach wojny przebywał w Rumunii, a po powrocie do Polski nie mógł znaleźć pracy. Wreszcie inż. Józef Rojek (który swymi wynalazkami przyczynił się do polskich sukcesów na zawodach o puchar Gordon Benneta w latach 1934 i 1935) zatrudnił go w prowadzonej przez siebie w Krakowie firmie. Małżeństwo p. Sarnków się rozpadło. Ironia losu sprawiła, że człowiek, który od najmłodszych lat zwalczał Kościół, ostatnie lata swego życia spędził w Domu Helclów, prowadzonym przez zakonnice. Z pewnością z nimi dyskutował – mogły to być ciekawe rozmowy. □

Korzystałem z następujących źródeł:

K. Dormus, „Kazimiera Bujwidowa 1867-1932. Życie i działalność społeczno-oświatowa”, Kraków 2002.

E. Komar, Kardynał Puzyna, Kraków 1912.

J. Kuciel-Frydryszak, „Zimmermanniada” (Ale Historia, 46/2014, s. 6-7).

Tektander, Moja pani. Studium z natury. Przyczynek do psychologii księżych gospodyń, Poznań 1911.

„Zimmermaniada. [akta sprawy strajku na Uniwersytecie Jagiellońskim z powodu ks. [Kazimierza] Zimmermanna oraz wykaz akademików, którzy otrzymali z powodu udziału w tymże naganę lub zostali relegowani”. 1910-1911 r. Materiały policji krakowskiej z załączeniem wycinków prasowych, odezów powielanych i drukowanych. Biblioteka Jagiellońska, Rkp. 6245 III.

Dr hab. inż. Wojciech Kroszczyński,
emerytowany prof. UPH
w Siedlcach

ANTEMURALE CHRISTIANITATIS

Prezentujemy niniejszym – naszym Czytelnikom – ostatni rozdział książki Andrzeja Witkowicza „Bułat i koncerz”, dzieła będącego świadectwem rzadko spotykanej u dzisiejszych polskich historyków erudycji. Autor w dwóch tomach (270+286 stron, z potężnym aparatem naukowym i licznymi planami walk) – daje (jak sam pisze w podtytule) Poprawki do obrazu wielkich bitew polsko-tureckich (1620-1683). Rozdział 5 owego dzieła przedstawiamy za zgodą Autora, będącego naszym uczonym kolegą, a zarazem sympatykiem Towarzystwa.

Redakcja

Wydawać może się dość zdumiewającym, że to właśnie konflikty z Imperium Osmańskim, z którym w XVII w. regularne wojny toczono krócej niż z Rosją czy Szwecją, a które – inaczej niż oba te państwa – realizowało dość ograniczone cele terytorialne i polityczne, stały się jednym z głównych polskich mitów narodowych. Idea *antemurale christianitatis* miała przy tym – przez kolejne stulecia – podlegać rozmaitym transformacjom, przekształcając się w hasła „przedmurza” dla innych jeszcze wartości.

Istnieje kilka przyczyn, dla których termin *antemurale* mógł zaistnieć najpełniej właśnie w odniesieniu do stosunków polsko-tureckich w XVII w. Po pierwsze, długość regularnych konfliktów nie oddawała całego okresu poczucia zagrożenia wojną, wynikającego z „awantur mołdawskich”, wypraw kozackich i najazdów tatarskich. Konflikt z Turcją wpisany był też w wielkie plany władców Rzeczypospolitej (Władysława IV, Jana III, a nawet Augusta Mocnego). Czynniki te, z większym i mniejszym natężeniem, obecne więc były w świadomości sarmackiej nieomal bez przerwy przez całe stulecie (z wyjątkiem kilkunastu lat sojuszu z Chanatem Krymskim).

Po drugie, aż do połowy XVII w. w opinii szlacheckiej lekceważono rosnącą siłę Szwecji i – szczególnie – Moskwy. Tymczasem Imperium Osmańskie, nie tyl-

ko w Rzeczypospolitej, lecz w całej Europie, uchodziło za potężną i złowrogą potęgę. Nic więc dziwnego, że „przedmurze chrześcijaństwa” było terminem funkcjonującym także w innych krajach, jakie znajdowały się na pograniczu państwa tureckiego, a więc w Wenecji, na Węgrzech czy nawet w Chorwacji. I chociaż sarmacka opinia często rozciągała termin *antemurale* na powstrzymywanie „fałszywych chrześcijan” – jak określano luterańskich „heretyków” czy prawosławnych „schizmatyków” – to ostatecznie utrwalić się on miał jako związany z wojnami tureckimi. Z pewnością sprzyjało temu najbardziej spektakularne zwycięstwo odniesione przez szlachecką Rzeczypospolitą: odzieszc Wiednia.

Należy tutaj uczynić zastrzeżenie, że chociaż idea „przedmurza” nadzwyczaj często pojawiała się w ówczesnym polskim piśmiennictwie, to nigdy nie stała się doktryną polityczną. Prof. J. Urwanowicz słusznie chyba oceniał, że *hasło antemurale christianitatis zastosowane na użytek zewnętrzny stanowiło narzędzie pomocnicze polityki zagranicznej jako czynnik propagandowy, argument przetargowy w kwestiach finansowych, instrument presji moralnej* [1]. Co zatem kryło się za tym terminem?

Doskonałą analizę fenomenu „przedmurza chrześcijaństwa” przeprowadził prof. Janusz Tazbir i nie sposób pomi-



Odsiecz wiedeńska

nać tutaj kilku wniosków tego historyka. Tazbir podkreślił, że idea *antemurale* stanowiła odpowiedź na pytanie o *historiograficzny sens istnienia państwa szlacheckiego*. Miała być nim nie tylko obrona Rzeczypospolitej, lecz całego chrześcijaństwa. Przelewając krew na kresach Europy sarmaci składali, według swego wyobrażenia, największą ofiarę dla tego celu. To zaś pozwalało szlachcie zarówno uzasadnić swą władzę wewnątrz kraju, jak i „dowartościowywać się” wobec innych narodów kontynentu. Co więcej, idea walki z wyznawcami islamu pomagała też w pewnym stopniu jednoczyć sam stan szlachecki, w którym bywali też protestanci i prawosławni. Skłaniała się również ku niej dewocja jezuitcka. Utrwalona w tradycji szlacheckiej idea *antemurale* z powodzeniem funkcjonowała nawet w czasach, gdy zagrożenie ze strony Półksiężycza ustało [2].

Nie przeszkadzało to zresztą w trzeźwym postrzeganiu korzyści płynących z dobrych stosunków z Imperium Osmańskim. Nie było również przeszkodą w orientalizacji gustów szlacheckich czy przejmowaniu uzbrojenia i sposobów wal-

ki od muzułmanów. Nawet największy bohater wojen z Półksiężycem nie traktował idei „przedmurza” zbyt poważnie. *Nieporozumieniem są dzisiejsze próby wykorzystywania postaci Jana Sobieskiego dla celów antymuzułmańskiej propagandy, monarcha ten bowiem cenił kulturę orientálną, znał język turecki, utrzymywał regularne kontakty z muzułmańskimi stolicami, idąc zaś pod Wiedeń kierował się politycznym pragmatyzmem, a nie względami o charakterze religijnym* – pisze o tym prof. D. Kołodziejczyk [3].

Ze swojej strony autor chciałby również zwrócić uwagę, że motyw walki z groźnym i „barbarzyńskim” Wschodem wpisany był w kulturę polską poprzez oddziaływanie ówczesnego modelu nauczania. Funkcjonująca już w klasycznej literaturze greckiej i rzymskiej idea „zderzenia cywilizacji” – Greków z Persami, Rzymian z Pontyjczykami czy Partami – przenoszona była dość łatwo w polskie realia. W efekcie maszerujący na Humań Kara Mustafa stawał się Kserksesem, Jan III Cezarem zwyciężającym Farnakesa, a bitwa pod Hodowem – i nawet w naszych cza-

sach! – Termopilami. Rzeczpospolita zaś, będąca republiką jak Ateny czy Rzym, miała być oczywistym przeciwieństwem wschodniej „despotcji”. Poza tym tradycja szlachecka zawierała także pamięć o krucjatach (*Co byli Saraceni, Otomany zowiem* u Wacława Potockiego), czy o śmierci Władysława III pod Warną, znajdując dla tych wydarzeń wspólny mianownik z czasami sobie współczesnymi.

Utrzymywanie się mitu „przedmurza chrześcijaństwa” w kolejnych stuleciach nie jest trudne do wyjaśnienia. Polskie oświecenie miało do niego niejednoznaczny stosunek, a romantyzm skłonny był podtrzymywać jego tezy. J. Tazbir podał ogromną liczbę przykładów ilustrujących te zjawiska. *Ludy słowiańskie rozdzieliły między siebie wielkie posłannictwo obrony chrześcijaństwa. Ruś zmagala się z Mongołami, Polska z Turkami* – skłonny był nawet objaśniać Mickiewicz [2]. Jednakże czasy zmieniały się i już Krasiński obrócił symbol „przedmurza” - Okopy Św. Trójcy - przeciw rewolucji społecznej.

O przetrwaniu mitu zadecydować miały przemiany drugiej połowy XIX w., gdy faktycznie tworzyła się świadomość narodu większej części społeczeństwa. Jej rozwój następował w dużym stopniu poprzez przejmowanie tradycji szlacheckich, choć nie zawsze były to te wartości, jakie pragnęli narodowi przekazać pozytywistyczni nauczyciele. W genialny sposób oddał te procesy Wyspiański w *Wyzwoleniu*:

KARMAZYN

Hej, chłopie, bierz tę karabelę.

HOLYSZ

Hej, chłopie, bierz mój lity pas.

KARMAZYN

*Gdy na narodu staniesz czele,
pamiętaj nas, wspominaj nas.*

HOLYSZ

Bądź taki, jacy myśmy byli.

KARMAZYN

Cha cha, wyucz się naszych wad.

Trzeba podkreślić, że temat wojen tureckich, bohaterskiej śmierci Warneńczyka i Żółkiewskiego, a z drugiej strony triumfów Jana Sobieskiego, był szczególnie wyrazisty, a przy tym wielowymiarowy. Podawane w nim wzorce osób i wydarzeń łatwiej oddziaływały na wyobraźnię niż obraz wielopokoleniowej pracy anonimowych mas społecznych. Przywoływane wzory nie mogły być zresztą całkowicie krytykowane przez pozytywistów. Wielu spośród nich, mając zdumiewająco jednostronny obraz „wiary w fantastycznego i okrutnego Allacha”, szerzącej zarówno „fanatyzm”, jak i „apatię” [4], skłonnych było postrzegać wojny z Turcją za istotną obronę cywilizacji. Inni z pozytywistów dostrzegali w przywoływanych wzorach niewątpliwe przykłady patriotyzmu.

Z tych samych przyczyn mity „przedmurza” miały pełne oparcie w niezmiernie wpływowych kręgach konserwatywnych i Kościele katolickim. Także i socjaliści tego okresu nie potrafili znaleźć jednoznacznej oceny dla idei *antemurale*. Działo się to po części wpływem pozy-



Tuhaj bej

tywnych ocen, jakie Marks i Engels nadali walce Polski z Rosją i Turcją. *Co by się na przykład stało z dziedzictwem cywilizacji pozostawionym Zachodowi przez pracę dwóch stuleci, gdyby Polska [...] nie przysłała na ratunek środkowej Europie zagrożonej przez Turków i nie złamała potęgi otomańskiej przez świetne zwycięstwo pod murami Wiednia* [5].

Ogromną rolę w odnowieniu mitu „przedmurza” odegrała oczywiście literatura piękna, w tym twórczość J. I. Kraszewskiego i H. Sienkiewicza. Szczególnie ten drugi nadzwyczaj efektownie eksponował motywy obrony chrześcijaństwa przed podstępными i okrutnymi wrogami, którymi tak często mieli być muzułmanie – od Tuhaj beja po Mahdiego. Niezależnie od faktu, że obraz zagrożenia tureckiego był także – pod cenzurą zaborczą – ukrytym sposobem opisu przemocy zgoła innych sił [3], w umysłach czytelników utrwalano jednak pewne schematy. Temat ten był przy tym miły ówczesnej cenzurze carskiej, gdyż Rosja podkreślała rolę cywilizacyjną wojen z Osmanami i sięgała do haseł panslawistycznych. Inna rzecz, że w XIX w. coraz częściej dostrzegano także inny jeszcze wymiar *antemurale*, a mianowicie zapory, jaką Polska miałaby być wobec ekspansji żywiołu germańskiego.

Walki z lat 1914-1920 – poprzez oczywistą paralelę między zagrożeniem muzułmańskim, a tym ze strony „caratu białego i czerwonego” – nadały idei „przedmurza” kolejny kształt, równocześnie jednak utrwalając dawne wizje. W ten sposób mitologia stworzona w XIX w. znajdowała swe dopełnienie w dwudziestoleciu międzywojennym. Dotyczyło to języka literatury, historii, publicystyki, pieśni (ze sztandarowym *Do Azji precz, potomku Dżengishana*) i pędzla malarzy. Wystarczy np. porównać płótna W. Piwnickiego i S. Kaczora-Batowskiego, przedstawiające obrazy skłębionych mas wrogów ota-

czających grupki polskich bohaterów – tych z r. 1620 i tych z r. 1920.

Jakkolwiek w części polskiego społeczeństwa idee „przedmurza” były traktowane coraz bardziej obojętnie (a także z ironią), można z uzasadnieniem twierdzić, że z pewnych przyczyn oddziaływały one nie mniej silnie niż w stuleciu poprzednim. Istotną nowością stało się to, że kult wielkiego wodza i wojen na kresach wschodnich – pasujący zarówno do osoby Sobieskiego czy króla Stefana (*o Batorym grzmiąły senatory* u Gałczyńskiego), jak i Piłsudskiego – rozpanował się na państwowych uroczystościach (obchody 250-lecia odsieczy wiedeńskiej) i wypełnił podręczniki szkolne. Równocześnie *Trylogia* pozostawała ciągle ukochaną lekturą młodego pokolenia i nie było kwestią przypadku, że fascynacja ta przekuci się miała w latach II wojny na pseudonimy licznych bojowników ruchu oporu.

Mit nie zniknął nawet w czasach PRL – i to nie tylko dlatego, że jego strażnikiem był ciągle potężny Kościół katolicki, a kolejne wydania Sienkiewicza zapełniały półki księgarni. W istocie poszczególne odłamy rządzącej partii pozostawały pod wpływem idei narodowych (zresztą bardzo rozmaicie rozumianych) i skłonne były pielęgnować mitologię wojen z Turcją. Było to zresztą zgodne z ówczesną linią polityki Kremla, zbieżną zresztą w tej kwestii z dawną propagandą carskiej Rosji. Wojny z Imperium Osmańskim stawały się ponownie obroną całej Słowiańszczyzny przed agresją i uciskiem ze strony „barbarzyńskiego” przeciwnika. Fakt, że Turcja znajdowała się wówczas we wrogim sojuszu wojskowym, był dodatkową zachętą do utrwalania takiej wizji. Oczywiście nie oznaczało to pochwały dla całości dziejów sarmackiej Rzeczypospolitej, lecz jedynie dla aspektu bohaterskich wojen. Nie było jednak dziełem przypadku, że to właśnie *Pan Wołodyjowski* okazał się pierwszą zekranizowaną częścią *Trylogii*,

a kolejny „wielki generał” uświetniał obchody 300-lecia odsieczy wiedeńskiej.

Równolegle zaś, po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”, przypominano: *Dzisiaj, po 300 latach, chrześcijanie – najczęściej katolicy, ale również prawosławni i protestanci – żyjący kiedyś w państwie Habsburgów, znowu zostali podporządkowani systemowi, który nie tylko jest wrogi ich wierze, ale występuje z pozycji wojującego ateizmu.* [6]

Po r. 1989 ewidentnie zmieniła się nie tylko koniunktura polityczna, lecz także sposób widzenia świata. Jednakże nie sposób stwierdzić, czy w dniu dzisiejszym następuje ostateczny kryzys mitu „przedmurza”, czy też odbudowany zostanie on w nowej formie. Dzieje znają wiele przykładów idei umiejętnie wydobywanych z „lamusa historii” i doskonale funkcjonujących w nawet bardzo zmienionych realiach. Odrodzenie naiwnej wizji historii jako cyklu „zderzeń cywilizacji”, wzrost nacjonalizmów europejskich (deklarujących obronę „cywilizacji europejskiej” przed islamistami) czy nawet język niektórych polityków (w obronie „cywilizacji życia”), są czynnikami sprzyjającymi trwaniu swoście rozumianych formuł *antemurale*. Z drugiej strony na mentalność społeczeństwa polskiego nie wpływa już zapomniany z wolna Sienkiewicz, ani nawet – ciągle podtrzymywany oficjalnie – kult wielkich wodzów. Także i podręczników szkolnych, niezależnie od marzeń niektórych decydentów, nie wzoruje się na propagandzie II Rzeczypospolitej. Z pewnością nie kwestie „przedmurza” przykuwają też dzisiaj uwagę społeczną.

Nie jest to jednak ostatecznie zamknięty rozdział kultury polskiej. To zresztą utrudnia nadanie mu ostatecznej oceny. Nie jest bowiem korzystne dla badacza – niezależnie od tego, jak bardzo czuje się on w swych sądach „niezależny” – gdy opisywane zjawiska budzą znaczne społeczne emocje. Dlatego zakończeniem tych roz-

ważań niech będzie cytata z *Nieboskiej komedii*:

MAŻ

[...] *Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancierzach – one ich popiołów nie wzruszą nawet – one zginą jak skowyczenia psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze. – A teraz czas już tobie wyniść z domu mego. – Gościu, wolno puszczam ciebie.*

PANKRACY

Do widzenia na okopach Świętej Trójcy. □

Bibliografia

- [1] Urwanowicz Jerzy, *Wokół ideologii przedmurza chrześcijaństwa w Rzeczypospolitej w drugiej połowie XVII w.*, w: *Odrodzenie i reformacja w Polsce*, XXIX, 1984.
- [2] Tazbir Janusz, *Polskie przedmurze chrześcijańskiej Europy. Mity a rzeczywistość historyczna*, Warszawa 1987.
- [3] Kołodziejczyk Dariusz, *Stosunki dawnej Rzeczypospolitej z Turcją i Tatarami: Czy naprawdę byliśmy przedmurzem Europy?*, w: *Praktyka Teoretyczna* 4 (26) 2017.
- [4] *Geografia malownicza. Z wrażeń podróżników ułożył Wacław Nałkowski*, Warszawa 1909.
- [5] *Marks i Engels o Polsce*, Warszawa 1971.
- [6] Hadler Simon, *Polityka i pamięć. Związki polsko-austriackie w latach 1883-1983*.
https://www.wilanow-palac.pl/print/polityka_i_pamiec_zwiazki_polsko_austriackie_w_latach_1883_1983.html

06.09.2020.

ADAM JAŚKOW

CZY FAUSTYNA TO DZIEWCZYNA. ŚWIĘTA

Oświadczam na wstępie, że niewiele wiedziałem o Św. Faustynie, dzienniczkach i obrazach „Jezu ufam tobie” (jak się okazało są dwa). Bardziej mnie interesował wykaz świętych, których nigdy nie było, ogłoszony, bez większego rozgłosu, po II Soborze Watykańskim. Lubię taki pośmiertny humor. Ze świętymi zwykle bywa tak, że nie wiedzą, iż nimi zostaną (lub już zostali), albo usilnie chcą nimi zostać, choć nie zależy to oczywiście od nich. Albo nigdy nie istnieli, ale ich postacie okazały się potrzebne. To instytucje kościelne decydują, który święty jest im potrzebny i do czego.

Widziałem Faustynę (spektakl w Teatrze Łaźnia Nowa) dwa razy i uczestniczyłem w rozmowie z aktorami i autorami spektaklu, autorem scenariusza Mariuszem Gołoszem, reżyserką Ewą Galicą, aktorami Agnieszką Sawicką, Katarzyną Krzanowską i Mateuszem Flisem. Zapewne wiem o spektaklu więcej niż większość komentatorów. Niejako standardem stało się wypowiedzanie się w kwestiach, o których nie ma się pojęcia i o wydarzeniach, w których nie brało się udziału. Poniekąd to łatwiejsze, nie jest się krępowanym przez wiedzę i fakty.

Jak wynika z oświadczenia teatru premiera spektaklu przeszła niemal bez echa. Szczerze mówiąc na mnie (premierowy) spektakl też nie zrobił wielkiego wrażenia. Ot ciekawostka. Kolejna sztuka z okolic nerwicy eklezjologicznej, z tym że dotyczącej wyłącznie bohaterek. Piszę bohaterek, bo w zasadzie autorzy prezentują nam trzy albo i siedem. Faustynę, te świętą a raczej jej wyobrażenie, Faustynę początku-

jącą malarzkę w czasie studiów oraz jej licealną wersję. Wszystkie Faustyny gra ta sama aktorka Agnieszka Sawicka. Wszystkie role męskie „incela”, księdza, a nawet dwóch i Jezusa, a raczej Jezusów z wyobrażeń Faustyn, gra ten sam aktor Mateusz Flis. Wszystkie matki, bo w sumie kuratorka Faustyny-studentki jest jakby zastępczą matką/opiekunką, gra Katarzyna Krzanowska. Gra więc matkę studentki, matkę „incela”, matkę kuratorkę i może nawet trochę matkę „Jezusów”.

To chyba oczywiste, że o ile wprost antyreligijny spektakl, Latający Potwór Spaghetti nie wzbudził agresji, to agresję wzbudził spektakl, który życzliwie, choć niekanonicznie, przedstawia fikcyjne postaci raczej wierzące. Fikcyjne oczywiście, bo mimo że Faustyna Kowalska żyła naprawdę, to jako święta przeszła do świata fikcji. Religie nie znoszą interpretacji, innych niż kanoniczna wersja. Zwalczają je i potępiają, choć czasem zdarza się, że je przejmują i włączają do kanonu. Jeśli widzą w tym interes. Szczególnie katolicyzm niezwykle często ubogaca się w elementy obcych religii czy wierzeń.

Na straży kanonu stoi instytucja kościoła, niezmienna nawet po rozwiązaniu Inkwizycji. Choć w sumie „inkwizycja” działa nadal pod nazwą Dykasterii ds. Nauki Wiary. Ale o czystość wiary walczą wszyscy księża. To ich obowiązek. Mogą korzystać z dostępnych narzędzi, w tym z wiernych owieczek. Tych niepewnych wszystkiego i szukających pewności oraz z tych pewnych siebie i być może nawet swojej wiary, które szukają potwierdzenia swo-

jej pozycji a być może odrobiny satysfakcji i siły. Obie grupy są podatne na manipulację. Łatwo dają się użyć do walki, a tym bardziej werbalnej. Szybko mogą stać się sieciowymi trollami, a jeszcze szybciej nośnikami cudzej agresji. Pewnie to oni wystąpili w obronie świętości i czci Faustyny, Jezusów, księży i całego katolickiego, powszechnego kościoła.

Teatr zdjął z Facebooka post o przedstawieniu „Faustyna – falsyfikat” ze względu na nalot agresywnych trolli. Gazeta Wyborcza wyłączyła możliwość komentowania tekstu o spektaklu na swojej stronie. Teatr stał się ofiara nagonki. To zresztą nie pierwszy raz, nie pierwszy spektakl, nie pierwszy teatr. Na szczęście Teatr nie poczuł się zmuszony do ściągnięcia spektaklu z afisza. Choć część afiszy został „zdzjęta”, niekoniecznie przez kolekcjonerów.

Ostatnimi czasy mieliśmy już potępienie *Kłatwy* Olivera Frłjića, spektaklu na motywach *Kłatwy* Wyspiańskiego. Recenzje ze spektaklu były zróżnicowane, ale oburzenie i protesty odbiły się jednak szerokim echem. Akurat Wyspiański zachowuje aktualność do dziś, nie tylko w wiejskich parafiach. Podobnie było ze spektaklem *Golgota Picnic*, który miał jeszcze słabsze recenzje, ale skala protestów była tak duża, że część niepokornych teatrów (np. Narodowy Teatr Stary) organizowała publiczne pokazy zarejestrowanego spektaklu, by jak najwięcej osób mogło się z nim zapoznać. Pamiętam tę projekcję, bo tłum przed teatrem sprawiał wrażenie, że więcej osób protestowało przed teatrem nie znając spektaklu, niż chciało wejść do środka by go zobaczyć. I ja tam byłem... i tak sobie było.

Kolejne protesty wywołały *Dziady* w Teatrze im Słowackiego w Krakowie w reżyserii Mai Kleczewskiej. Pełniła wtedy funkcję Wojewódzkiego Kuratora Oświaty w Krakowie Pani Barbara N. stała się twarzą protestów. Zarzucała reżyserce dokonania nieadekwatnych interpretacji. Jednak sama kurator nie podjęła się



Św. Faustyna Kowalska

adekwatnej interpretacji wieszczą, poprzestając na publicznej modlitwie przy użyciu różańca. Publiczne protesty wzbudziła też *Monachomachia* Teatru KTO w Krakowie; co nie powinno dziwić, bo Krasicki, choć biskup, dosyć realnie przedstawił klasztorne życie w wieku XVIII. Kto wie, na ile ten opis jest aktualny do dziś. Mnisi na ten temat milczą.

Ostatnie wzburzenie, przed Faustyną, wzbudził spektakl *Kora Boska* Teatru Nowego „Proxima”. Jak sądzę powodów do protestów było wiele. Sugerowano, że Kora została wykreowana na świętą teatralną; choć dla mnie wystarczyło, że była boska na scenie. W spektaklu „wystąpiły” trzy „Matki Boskie” a przecież wiemy, że jest ich mnóstwo i wyróżnienie tylko trzech, z Częstochowy, Gwadelupy i z Fatimy mogło obrazić wszystkie pozostałe. Nie słyszałem protestów przeciwko wspomina-

niu w spektaklu o czajniczku pana Russella (Bertranda) a przecież dobrze wiemy, że też nie istnieje. Ten przynajmniej spektakl był boski, więc jakość nie powinna być powodem do protestów.

Nie zniechęcam do protestów. Każdy ma prawo wyrazić swoje zdanie, a przecież nie istnieje obowiązek chodzenia do teatrów i oglądania spektakli. Nie ma też, jak wspominałem, obowiązku, by przed wyrażeniem opinii zapoznać się z opiniowanym

przedmiotem. To by wyglądało na tłumienie wolności słowa. Ze swojej strony mam tylko pokorną prośbę do organizatorów, czy inspiratorów przyszłych protestów, bo jestem pewien, że takowe będą. Proszę tylko, by na cel protestów wybierać najlepsze okazy spośród spektakli, filmów czy imprez. Oglądając te oprotestowane, nie będę miał poczucia, że oglądam coś, tylko dlatego, że zostało oprotestowane. Szanujmy swój czas. □

PŁOSZENIE SŁONI

Spacer z psem to niezwykle kształcące zajęcie. I zdrowe. Sprawia, że człek nie całkiem przyrasta do fotela. Kształcząca moc tych spacerów polega na rozmowach. Przecież nie tylko ja muszę wyprowadzać mojego futrzaka. Każde osiedle, każda ulica ma swoich „kynologicznych” spacerowiczów. To właśnie przy takiej okazji mamy defiladę psich piękności – jawnych i ukrytych. Czystych rasowo i tych pięknych inaczej i w sposób nieoczywisty. A opiekunowie? Toż to dopiero panoptikum różnych typów urody, charakterów, o płci i numerach PESEL nie wspomnę.

Cóż zatem ma robić człowiek wyprowadzony przez swego pupila na spacer? Najczęściej (gdy pogoda sprzyja) rozmawia się, gdy psy mają coś znacznie ważniejszego do zrobienia. Rozmawia się. A o czym? Oczywiście o tym, co nas otacza. Zaczynamy od pogody, potem następuje przegląd nekrologów. Jeżeli zdarzą się sensacje natury obyczajowej, to i owszem – czemu nie.

Wreszcie to, co stanowi prawdziwy smak spacerów: POLITYKA. Polityka we wszystkich barwach, odmianach, konotacjach filozoficznych i innych. Znamy się wszyscy, mniej więcej orientujemy się w stanach świadomości i światopoglądowych. To pozwala nam uniknąć niezręcznych sytuacji, potępieńczych sporów i brzydkich zachowań. Bo jakżeby to wy-

glądało: pieski biegają, bawią się, cieszą życiem, a my – ludzie – mamy się pozagryzać? A może należałoby wychodzić na spacer w kagańcach? Dlatego pilnujemy granic bezpiecznej dyskusji.

Ot, pierwsza na każdym spacerku pani Zosia z małym kundelkiem, do niczego nie podobnym. Wierna czytelniczka prasy kościelnej, słuchaczka wiadomej stacji radiowej, dokarmiająca ze swej skromnej emeryturki przedsiębiorczego zakonnika w Maybachu. Pani Zosia dałaby się poćwiartować za swoje poglądy. Często, gdy nie starcza jej argumentów oznajmia, że będzie się modlić za adwersarza, wyraźnie opętanego przez złe moce. I jak tu nie miłować pani Zosi? Przecież ona załatwi nam zbawienie!

Pan Robercik wyprowadzany jest przez uroczo groźnego amstafa. Wraz ze swoim psem stanowią wyborny duet mięśni, szybkości, siły, zdecydowania itd. Trzeba dodać, że obaj noszą patriotyczną odzież. Pan Robercik koszulki i kurteczki, a amstaf ma na karku bandankę w stosownych barwach. Pan Robercik na wszelkie kłopoty społeczne, polityczne i finansowe ma jedno, uniwersalne rozwiązanie: za mordę! Dyscyplina! Precz z eurokołchozem! Tu jest Polska! Precz z ... Tu pan Robercik do rytualnego „precz” zawsze dodaje to, co powinien: od emigrantów, przez inteligentów po Brukselę i Berlin. Tak już ma.

Jest także pani Jowita. Influencerka. Tak przynajmniej mówi o sobie. Zawsze odziana zgodnie z trendami, na kilometr pachnąca niczym fabryka kosmetyków. Pani Jowita piastuje różnobarwnego yorka. Mówi niewiele, za to z fatalną dykcją. Może i dobrze, bo zbyt wiele chyba do powiedzenia nie ma. Nasza chodząca piękność utrzymuje, że człowiek winien bez przerwy dbać o swój „look” i o „image”. O bliższe wyjaśnienia, o co chodzi, próżno pytać. Nie warto.

Pan Zdzisław wpatrzony w swego owczarka niemieckiego wciąż powtarza, że wszystkiemu winna dzisiejsza młodzież. Dalej wyjaśnia, że przed laty dostał od swojego ojca po gębie i jeszcze potem musiał podziękować za wychowawczą troskę. Wtedy był porządek! A dziś co? Każdy po swojemu, wymyślają jakieś prawa człowieka, kto to widział? Oni! Oni są wszystkiemu winni! Przecież wiadomo, że dupa nie szklanka, nie stłucze się, a w wychowaniu młodzieży dopomóc może!

Jest także pan Adam. Właściwie to on nie jest. On przebiega. Zawsze. Wciąż w biegu. Stosownie ubrany, z całą masą elektronicznych narzędzi do pomiaru siły, kalorii, prędkości i wielu jeszcze elementów składających się na bieganie. Ale! Pan Adam nie biega sam. Wraz z nim świat przemie-

rza husky. Podobno najlepszy w zimowych biegach na długich dystansach. Pan Adam pozdrawia nas przy pomocy krótkich raportów na temat swych bieżących parametrów kondycji. Husky nas nie pozdrawia, bo ponoć nie umie nawet szczekać! Fanatyk biegania potrafi interesująco (i krótko) opowiadać o odżywkach i napojach energetycznych. W politykę nie daje się wkręcić. Uważa, że wszystko będzie dobrze. Byleby nie szkodzić przyrodzie. I już się oddala.

Wszyscy wyprowadzamy nasze psy. Pod tym względem stanowimy jedność. Każdy z nas ma natomiast swoje widzenie świata, swój zestaw sposobów na codzienne bolączki. Każdy z nas czasem myśli magicznie. Wierzy w swą nieomyślność.

A skąd w tytule owo płoszenie słonia?

Ano stąd, że przypomniał mi się średni dowcip następującej treści:

Do psychiatry zgłasza się człowiek wciąż pstrykający palcami, wystawiający język, wytrzeszczający oczy. Lekarz zapytuje:

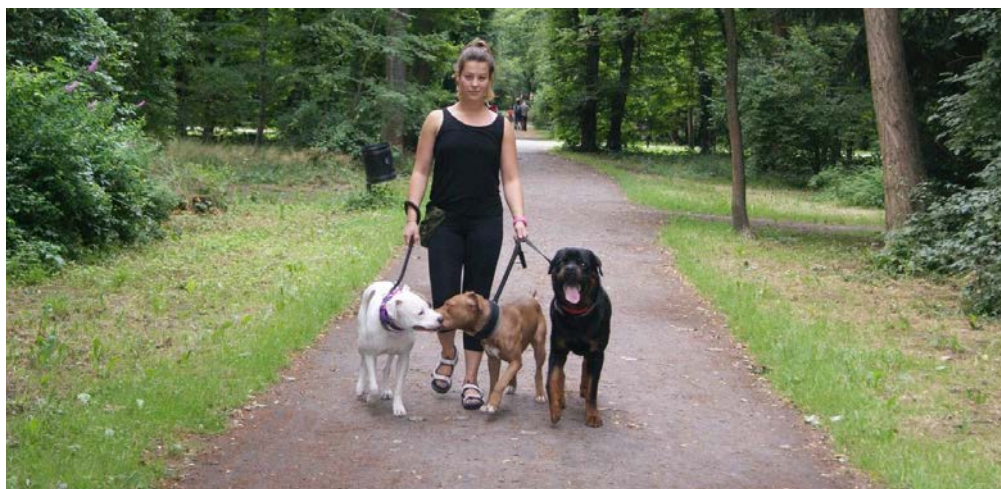
– Co pan robi?

– Jak to co? Płoszę słonie.

– Jakie słonie? Przecież tu nie ma żadnego słonia!

– No widzi pan, panie doktorze? To działa! □

Marchoń



Kto kogo wyprowadza?

PLECAK EWAKUACYJNY

Moje wnuki pochylone nad laptopem. Cóż ich tak fascynuje, że nie słyszą wołania na obiad? Podchodzę, zaglądam ponad ich głowami. Na ekranie rysunki i zdjęcia „omawiające” ideę plecaka ewakuacyjnego „na wypadek W”.

– No i co o tym myślicie? – pytam, bez większej nadziei na poważną odpowiedź. Przecież to temat tak, wydawałoby się, nierealny, tak bardzo spychany przez nas w podświadomość, niedopuszczany...

– Źle jest, Babciu – słowa te padają z ust moich wnucząt niemal równocześnie. Wnuk rozkłada ręce:

– Przecież tak może się zdarzyć, że zanim sięgniemy po spakowany wcześniej plecak, to już nas nie będzie.

– Albo potraktują nas jakąś cholerną chemią, że nam to nic nie pomoże. Będziemy się dusić, albo zamieniać w jakąś maź, słowem zginiemy w męczarniach, a ten plecak to... wiesz Babciu... – Wnuczka miała ponury wyraz twarzy. Nie było nam do śmiechu.

– Przypominają mi się niewybredne żarty z czasów zimnej wojny, gdy proponowano w razie nuklearnego zagrożenia owinać się w prześcieradło i spokojnie czołgać się w stronę najbliższego cmentarza. Ponuro, jeszcze raz ponuro...

– No to jak? Mamy się nie przygotowywać, nie reagować, nawet nie próbować się ratować? – głośno wyraziłam swoją rozterkę.

– No nie, Babciu. – Mój wnuk przywdział maskę stanowczego, silnego mężczyzny. – Trzeba być przygotowanym na wszelki wypadek.

– To znaczy na co? – zapytałam odruchowo.

– No, choćby na to, żeby w miarę możliwości uciec.

– Znaczą się: ewakuacja – uzupełniła wnuczka.



– Ewakuacja – dokąd? – wciąż byłam dociekliwa.

– Tam, gdzie chociaż trochę bezpiecznie. – Wnuk próbował być rzeczowy i myśleć realnie, konstruktywnie.

– To znaczy dokąd? Europa staje się coraz ciasniejsza. Trudniej się ukryć, trudniej przeżyć. – Było mi coraz bardziej smutno, czułam się coraz bardziej bezradna, pozbawiona podmiotowości.

– Moje wnuki, zdawałoby się osoby wyuluzowane, beztroskie, też zdradzały poczucie zagubienia i bezradności. Jeśli nasza trójka miała tak podły nastrój, to powiedzmy to samo o trzydziestu paru milionach. Aż zimno się robi. Jak temu zaradzić?

– Nie pamiętam (na szczęście) lat 1939-45. Wiem natomiast, że po drugiej wojnie światowej społeczność świata odetchnęła z ulgą, że już nigdy więcej, że minęło i nie wróci... Czyżbyśmy się wszyscy aż tak mylili? Czy ludzkość mimo takich doświadczeń pozostała zbiorowiskiem idiotów? Zero wniosków? Żadnych refleksji? Co mam powiedzieć wnukom? A może rzeczywiście spakować ten plecak ewakuacyjny? □

Babcia

NOBLISTA FASZYSTA

GUGLIELMO MARCONI (1874-1937)

Jego Ekselencja Senator Markiz Guglielmo Marconi, prezes Accademia d'Italia, Członek Wielkiej Rady Faszystowskiej – takiej niezwyklej formy adresowania wysyłanych do niego listów wymagał słynny pionier radiofonii, wyróżniony Nagrodą Nobla w dziedzinie fizyki w 1909 roku „za wkład w rozwój telegrafii bez drutu”.

Kariera Marconiego przebiegała w niecodzienny sposób. Urodził się w 1874 roku w Bolonii. Jego ojciec Giuseppe był bogatym posiadaczem ziemskim, a matka Annie Jamieson – Irlandką, córką producenta znanej irlandzkiej whisky. Guglielmo był od małego dwujęzyczny, ale uczył się źle i mimo korepetycji udzielanych przez prywatnych nauczycieli miał kłopoty z ukończeniem szkoły średniej. Nie mógł się wskutek tego zakwalifikować na studia wyższe, ale dzięki wpływowemu ojcu uzyskał wstęp do laboratorium znanego włoskiego fizyka Augusto Righiego, który – jak wielu innych w tym okresie – eksperymentował z falami elektromagnetycznymi odkrytymi nieco wcześniej przez Heinricha Hertza. Guglielmo pobierał tam prywatne lekcje i mógł się zapoznać z przyrządami i bieżącą literaturą. Artykuły Hertza oraz angielskiego fizyka Olivera Lodge'a zafascynowały Marconiego. Rozpoczął własne doświadczenia na poddaszu rodzinnego domu w Villa Grifone, niedaleko Bolonii. Nie miał formalnego wykształcenia, ale dużą smykałkę do eksperymentowania. Chciał za wszelką cenę sprawdzić, czy możliwe jest przesyłanie informacji przy użyciu fal elektromagnetycznych. Metodą prób i błędów udało mu

się jesienią 1895 roku przesłać sygnały na odległość około półtora kilometra.

Marconi był patriotą, więc przewidując ogromne znaczenie praktyczne nowego sposobu przesyłania informacji, próbował zainteresować swoim wynalazkiem rząd włoski. Został jednak zignorowany. W tej sytuacji wyjechał z matką do Londynu, gdzie dzięki znajomościom i wpływom irlandzkiej części rodziny szybko nawiązał kontakt z wysoko postawionymi osobami. Kiedy udało mu się zademonstrować publicznie przesyłanie sygnałów na odległość 14 kilometrów, od razu dostał propozycję obywatelstwa brytyjskiego. Marconi jednak odmówił. Jako obywatel włoski w wieku poborowym był zobowiązany do odbycia trzyletniej służby wojskowej, co oczywiście przerwałoby jego doświadczenia. Znalaziono jednak wyjście: Marconi został formalnie uznany za kadeta odbywającego przeszkolenie w ambasadzie Włoch w Londynie. Nic więc nie przeszkadzało mu w dalszym rozwijaniu techniki przesyłania sygnałów falami elektromagnetycznymi. Postęp był szybki. W marcu 1899 roku ustanowił rekord odległości 136 kilometrów, przesyłając sygnał między Chelmsford w Anglii i Wimereux we Francji. Następnym wyzwaniem było pokonanie Atlantyku. Dwunastego grudnia 1901 roku Marconi przesłał sygnał telegraficzny na odległość 2880 kilometrów z Poldhu w Kornwalii do St. John's w Nowej Funlandii. W tym czasie był już właścicielem firmy Marconi Wireless Telegraph Company. Mimo zaciętego oporu firm eksploatujących telefoniczne kable



Marconi w swoim laboratorium

transatlantyczne Marconi szybko rozwijał swoje interesy i się bogacił.

W marcu 1905 roku Marconi ożenił się z irlandzką arystokratką Beatrice O'Brien. Z tego związku przyszło na świat czworo dzieci: Lucia, Degna i Gioia Jolanda oraz syn Giulio. Z biegiem czasu stosunki między małżonkami zaczęły się psuć. Marconi często przebywał poza domem w związku z interesami oraz miał skłonności do przygód miłosnych z innymi kobietami. Wskutek nieostrożnej jazdy samochodem miał poważny wypadek, w którym stracił oko. Spory skandal wywołał przelotny związek pięćdziesięcioletniego wynalazcy z siedemnastoletnią Betty Paynter.

W Kościele katolickim formalnie nie ma rozwodów, ale dla ludzi zamożnych bywa inne wyjście. W 1927 małżeństwo Marconiego i Beatrice O'Brien zostało uznane za nieważne. Wynalazca nie miał więc przeszkód, aby wziąć drugi ślub kościelny z nową miłością. Hrabianka Cristine Bezzi-Scali trochę utemperowała męża. Zresztą starzejący się Marconi wykorzystał malejącą energię na innym polu. Był członkiem

partii faszystowskiej już od 1923 roku. Siedem lat później Mussolini mianował go prezesem Accademia d'Italia i członkiem Wielkiej Rady Faszystowskiej. Aktywne popieranie faszystów odebrało Marconiemu wiele szacunku, zwłaszcza po inwazji armii włoskiej na Etiopię.

Pierwsze udane próby przesyłania sygnałów przy użyciu fal elektromagnetycznych wykonywali w tym samym czasie co Marconi także Oliver Lodge w Anglii i Aleksandr Popow w Rosji. Lodge, obciążony dydaktyką uniwersytecką, nie miał dość czasu, żeby kontynuować eksperymenty. Popow nie mógł uzyskać wsparcia rządowego i także nie robił znacznych postępów. Nie ulega wątpliwości, że właściwy rozwój radiofonii zawdzięczamy Marconiemu, co właśnie docenił Komitet Nagród Nobla. Popow darzył Marconiego szacunkiem, a w 1905 roku przesłał mu w prezencie ślubnym srebrny samowar i futro z fok.

Tekst zaczerpnięto z:
Andrzej Kajetan Wróblewski
„300 Uczonych prywatnie i na wesoło”,
wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2018



- Czy nie lepiej byłoby, zamiast tępić zło, szerzyć dobro?

Antoine de Saint-Exupéry

- Człowiek ocenia się dobrze i źle nie tylko ze względu na to, co robi, ale także ze względu na to, czego chce.

Demokryt

- Człowiek może być kiedyś dobry, ale z pewnością było to bardzo dawno.

Jean Paul Sartre

- Altruista to człowiek, który myśli o innych, nie zapominając o sobie.

Albert Camus

- Lubimy siebie, jakimi się widzimy, a nie jakimi nas widzą.

William Somerset Maugham

- Tych wszystkich, którzy upajają się zgiełkiem mass mediów, kretyńskim uśmiechem reklamy, zaniedbaniem przyrody, brakiem dyskrecji wyniesionym do rzędu cnót, należy nazywać kolaborantami nowoczesności.

Milan Kundera

- Chcemy zawsze zniszczyć to, czego się lękamy.

Wolter

- Czasem wydaje mi się, że tworząc człowieka, Bóg przecenił swoje możliwości.

Oscar Wilde

- Odkąd zniesiono niewolnictwo, ludzie sprzedają się sami.

Antoni Reguński



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Salvador Dalí
Trwałość pamięci, 1931